ŚWIAT



Nr. 51. DNIA 17 GRUDNIA 1932 ROKU

PIERWSZY ŚNIEG W WARSZAWIE — ALEJE UJAZDOWSKIE

TREŚĆ:

Stefan Żeromski: „Korsyka"
(Z nieogłoszonego dotychczas dziennika podróży)



Uzdrowiska przed sezonem zimowym
(Wywiad u p. wiceministra Piestrzyńskiego)



Przeludnienie kuli ziemskiej
(przez prof. Jerzego Lotha)



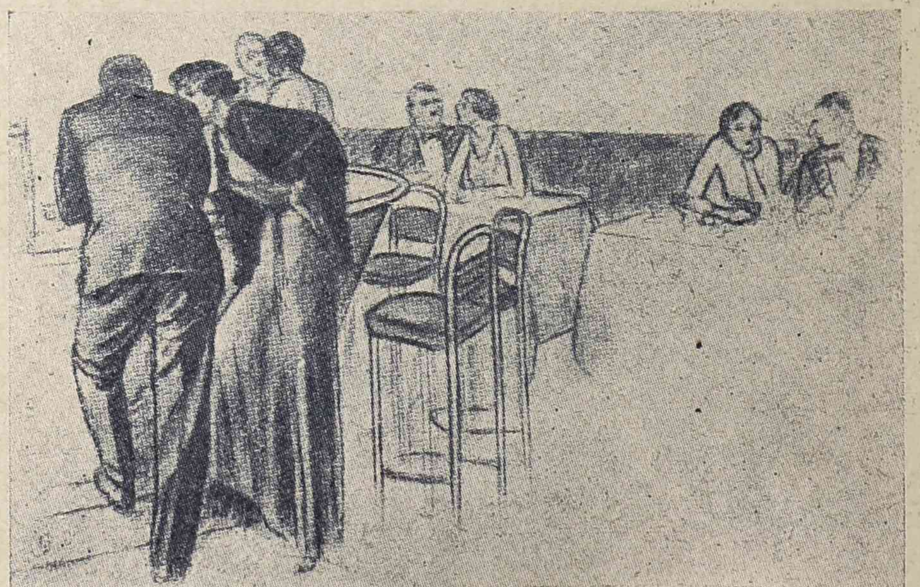
W sowieckiej razurze (feljeton)



Paryski Salon lotniczy



Tydzień „Świata"
Plastyka. Teatr. Muzyka.



— Skądże oni mają mieć dzieci? On jest literatem, a ona malarką!

ŚWIAT
PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 17-go GRUDNIA 1932 ROKU
ROK XXVII • NR. 51 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

STEFAN ŻEROMSKI

Z dziennika podróży

Zamieszczamy wyjątek z niedrukowanych dotychczas notatek podróżniczych Stefana Żeromskiego, które ukazują się jednocześnie w wydaniu książkowem nakładem Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie — J. Mortkowicz, p. t. „Dziennik podróży". Są to odręcznie robione zapiski z trzech podróży wielkiego pisarza: w r. 1902 na Riwjerę i na Korsykę, w r. 1906/7 do Włoch i w r. 1911 na plażę francuską, i stanowią rewelacyjny dokument bezpośrednich reakcji i refleksji Żeromskiego na świat, na zdarzenia polityczne i społeczne, na przyrodę, sztukę i ludzi. Materjałem tym posługiwał się później pisarz przy tworzeniu swych utworów. Przytoczony poniżej urywek zużytkowany był częściowo przez autora w „Dziejach Grzechu" i w „Sułkowskim".

KORSYKA

Widać już było brzeg Korsyki, ślepemi zlotami skał spadający w morze. Nic, coby przypominało ludzi. Chropowate góry, słabo porosłe niską zieleniną, rude, czerwonawe, granitowe. Pieniste wełny morza ciskają się na nie szalonemi skoki. Białe i długie muśliny obłoków porannych leżą na tych łańcuchach bezludnych i bezpłodnych. W górze nad statkiem latają wielkie białe rybitwy. Co chwila któraś z nich rzuca się w warkocze fal, zostające na szlakach statku.

Wstało słońce. Fale przybrały kolor stali. Góry w tem świetle są jeszcze straszniejsze. Zda się, że to się otwierają ich wnętrza, ciosane toporem czasu i że usiłują urokiem swym prześcignąć urok dzikości morza. Ukazuje się cypel zdaleka widzialny, olbrzymi, jakby był jedną wypaloną na cegłę kupą gliny. To Monte Rosso. Góra Czerwona. W szwach tylko, któremi woda z wyżyn ścieka, a które są zapewne głębokiemi parowami, zieleni się jakaś roślinność.

Około południa statek zatacza koło i wchodzi poza szczerbate skały, które, jak najeżona szczotka, wysterkają z morza. Są to *Iles Sanguinaires*, wyspy krwawe. Wchodzimy do zatoki Ajaccio. Za temi to wyspami krwawemi chował się zdobywca świata... Długo miasta nie widać. Płyniemy cichą zatoką pod słońcem, widząc oba brzegi lądu. Złudzenie, że się to płynie po jeziorze Zuryskiem, czy Czterech Kantonów, jak za dawnych lat. Nareszcie w końcu zatoki ukazuje się miasto. Zwolna statek przybija do brzegu. Widać odrazu głęboką, zapadłą prowincję, nim jeszcze wyleźliśmy na brzeg. Zeszło się pół miasta, patrzą na nas, jak na rarogów. Idziemy najprzód do rewizji celnej, co dobre daje świadectwo o przynależności Korsyki do mocarstwa, z którego właśnie wprost przyjeżdżamy, — następnie do hotelu *des Etrangers* przy ulicy Cours Grandval. Dostajemy pokoje na trzeciem piętrze z oknami na południe. Pełno w nich słońca, zapachu fijołków, świeżej woni nieznanych nam kwiatów i pomarańcz, których ogród cały czerwieni się w dole. Palmy siedzą olbrzymim tłumem, eukaliptusy buchają w wyżynę i przewyższają czteropiętrowe domy. W rogu ogrodu przechyla się przez jego mur ciemnoróżowe drzewko, które nęci wzrok jak cudne dzie-

cko. Wszystkie gałęzie ma oblepione kwiatem, a ani jednego liścia.

Przy tabldocie kilka zaledwie osób: dwu anglików, jedna angielka i dwie niemki, później oficer marynarki francuskiej. Z anglików, jak się później okazało, jeden nazywa się Bojanowski i jest... niemcem. Drugi nazywa się Diamant, co również źle świadczy o jego anglosaskości. Rzeczywistą była tylko angielka, co potwierdzały jej zajęcze zęby.

Drugiego dnia po przyjeździe zwiedzamy dom Napoleona przy ulicy St. Charles. Niepozorna kamieniczka, wychodząca na mały placyk z ogródkiem, zwany place Letizia. Wewnątrz brudno, ciemno, wilgotno, pełno kurzu. Gdy po otwarciu okiennic i żaluzji słońce wchodzi, widzimy meble szeregu pokojów o rozmaitych posadzkach, salon, sypialnię, pokój Napoleona z dziurą w posadzce, którędy miał uciekać, gdy mu dano znać jako jakobinowi przybyłemu z Francji dla buntowania ludu, że go jenerał Paoli zamierza aresztować. Szpinet Letycji Bonaparte... Dotknięte palcami klawisze wydają słaby, drżący dźwięk, chory głos przeszłości. Sprawiło na mnie wrażenie podwórko, a raczej balkon ceglany, leżący na wysokości piętra, a ze wszech stron otoczony brudnemi ścianami sąsiednich kamienic. Słońce padało nań olbrzymią masą i rosnący w wazonie kwiat wychylał się ku niemu. Czy też przeczuwał ów człowiek, gdy tu bywał młodzieńcem, chwile swego tryumfu na polach Europy i kartach historji? Napewno nie. Los go niósł naprzód, zdolności wspierały, oszalały tłum ludzki pchał coraz wyżej...

Na placach miejskich — same pomniki Napoleona. Na placu platanowym — t. zw. „Kałamarz", t. j. pomnik cesarza na koniu w otoczeniu czterech jego braci. Na placu przed ratuszem w alei palmowej — pomnik konsula z marmuru kararyjskiego w stroju rzymskim. Kaplica Bonapartych z napisem dla Letycji „Mater Regum" — oto wszystko. Takich brudów, takich uliczek, jak w Ajaccio, nie widziałem nigdzie we Włoszech, nie widziałem nawet w Wąwolnicy, ani w Kazimierzu. Szczególniej jedna, bez nazwy, zaraz obok portu... W niedzielę cała inteligencja korsykańska miasta Ajaccio w świątecznych szatach wychodzi popołudniu na spacer. Na platanowym, niebrukowanym placu Bonaparte około „Kałamarza" roi się wówczas od kawalerów i panien, zupełnie jak w mieście Kielcach w parku miejskim w niedzielne popołudnia. Korsykanki są brzydkie, czarne, mają wygląd malaryczny. Ubierają się czarno, w czarne suknie, staniki sukienne i sukienne chustki kładą na głowę, wskutek tego robią wrażenie zakonnic.

Poniedziałek przeleżałem na słońcu i przełaziłem około hotelu. Tuż obok znajdował się pałac Pozzo di Borgo, naszego przyjaciela z lat 1832/33.

W środę rano jeszcze włóczęga po mieście, kupujemy drobne pamiątki, wreszcie rachunki, ostatni obiad ranny i odjazd.

16 kwietnia. W drodze. Mała nędzna kolejka górska, która nas wieść miała w ciągu ośmiu godzin — przykre sprawia wrażenie. Ruszamy z wielkim trajkotem. Torpedowce francuskie w kącie portu. Potem ostatni zalew morza, przypominający staw pod Oleśnicą... Zaczyna się eukaliptus, wysysacz wody. Koszlawy łopatkowiec — kaktus siedzi u brzega po suchych kępach. Lasy eukaliptusa, aleje. Na jakiejś stacyjce widzę dziewczyny oklep na mułach. Bujne chwasty nad zatoką Ajaccio, wciąż jeszcze widzialną. Błota Campo do Loro, siedlisko malarji.



STEFAN ŻEROMSKI NA WYWCZASACH

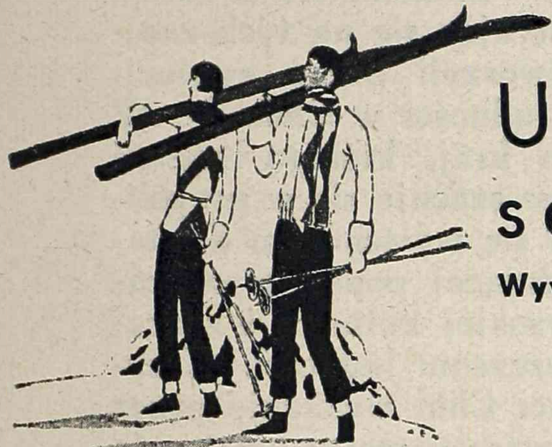
Zaczynają się wreszcie wzgórza, brzydkie, porosłe rodzajem rośliny, zwanej u nas „bagno". Brodzą tu i owdzie kudłate kozy z taką samą swobodą, z jaką właziły w Ajaccio na stopnie pomników Napoleona. Jeden koziołek maleńki zleciał z góry wprost pod koła pociągu i szczęśliwie ocalał. Widziałem go jeszcze długo, jak trząsł brodą i parskał. Gdzieniegdzie widać było niskie kamienne, chropawe chaty. W jednem miejscu widziałem wieśniaka, orzącego krowami małe, kamieniste stajonko ziemi. Wszędzie drzewa oliwne o barwie stali, cyprysy, daleko w górach wioski jak kupy szarych ruin. Zresztą pustynia głazów, porosłych owym krzewem bez nazwy, który teraz właśnie kwitł i wydawał miodowy zapach.

Coraz bardziej dźwigała się z wielkiem sapaniem kolejka, coraz większą ilość tunelów przebywała raz za razem, aż wreszcie weszła w okrąg góry Monte d'Oro i weszła w ohydny tunel, długi, jak sto djabłów. Kiedy z dymu i sadzy przetarliśmy oczy, byliśmy w innej zupełnie okolicy. Lasy limbowe! Zimno jak w Zakopanem i widok całkiem zakopiański. W górze szczyt zawalony śniegiem we mgłach, niżej olbrzymie lasy, zupełnie jakby świerkowe i dopiero po bliższem wejrzeniu ukazujące pinię jako ich główne drzewo. To *Vizzavona*, miejsce kuracyjne na wysokości 900 metrów. Cóż to za cud! Gdyby tak było bliżej od Warszawy... Odtąd pociąg idzie jakgdyby w krainie baśni cudownej. Przepaście obrosłe gatunkiem cedru, czy cyprysa karłowatego pachną od jego kwiatu i sprawiają wrażenie rozkosznych dolin. W głębi niedościgłej dla oka pieni się błękitny potok Golo. Skał prawie nie widać. Zbocza zielone, jakgdyby utkane, by człowiek, idący nad przepaściami, nie obnażył nogi. Ukazują się ciągle dwie olbrzymie góry: Monte d'Oro i Monte Rotondo, w śniegach obiedwie. W Vizzavonie wsiedli do naszego przedziału anglicy. Ojciec stary człowiek, matka stara kobieta i córka stara panna. Ostatnia zaraz rozłożyła tekę, w której miała pełno arkuszów zapisanych greckiemi wierszami. Zaczęła coś pisać ołówkiem... Stary człowiek zdjął kapelusz i włożył czapkę, matka zdjęła grube, górskie trzewiki i włożyła cieńsze. Wszystko to zrobili w sposób nie tylko oryginalny, ale nawet dystyngowany, nawet piękny, jak czasami artyście uda się wyrazić pospolity i trywialny obraz życia ludzkiego w wierszu bardzo pięknym, w zwrocie subtelnym... Kiedy usunęliśmy się im, ażeby mogli lepiej widzieć zakręt doliny, dziękowali w sposób najbardziej uprzejmy, a kiedy rozpatrywałem małą mapkę Korsyki w Badeckerze, stara panna ofiarowała mi swoją, dużą, mówiąc po francusku, żebym z niej korzystał,

dopóki zechcę, gdyż ona jej teraz nie potrzebuje. Jechali z nami tylko do Corte. Tam wzięli na plecy swoje podróżne tłomoki, wdzieli znowu trzewiki grube i poszli, widać, na monte Rotondo. Bardzo oryginalni i ciekawi ludzie. Byli ubrani prawie ubogo, w szarych ubraniach, kobiety w grubych sukniach.

Za Corte miejscowość staje się coraz bardziej bezpłodna, góry niskie, bez uprawy.

Od Casamozzy, już nad samym wieczorem pojechaliśmy na północ wybrzeżem niskiem, błotnistem, które zlewało się w oczach z morzem. Wieczorem przyjeżdżamy do *Bastia*. Trzeba nieszczęścia, że tymsamym pociągiem i do tego samego hotelu *de France* zajechał udzielny książę Sachsen Meiningen. Przewrót w mieście, we łbie właściciela hotelu, w jedzeniu i piciu. Dają nam na mieszkanie własną sypialnię jegomość pana hotelarza i jego małżonki. Pierzyny! Ja na szczęście dostaję oddzielną norę na drugiem piętrze. Jedzenie pod zdechłym zającem, woda do herbaty niegotowana. W nocy walą przedpotopowe zegary, biją dzwony. Na szczęście, dzień się robi — jedziemy do Europy.



Uzdrowiska przed sezonem zimowym

Wywiad u p. wiceministra Piestrzyńskiego

W przededniu rozpoczęcia nowego zimowego sezonu uzdrowiskowego zwróciliśmy się do p. wiceministra Piestrzyńskiego, kierownika państwowej służby zdrowia, z prośbą o poinformowanie, jak ogólny kryzys gospodarczy odbił się na naszych uzdrowiskach i zdrojowiskach.

— Muszę z przyjemnością stwierdzić — rozpoczął p. minister Piestrzyński, — że udało nam się tego roku ściągnąć do uzdrowisk polskich nawet więcej publiczności, niż w roku zeszłym. Nie chcę kolumnami cyfr statystycznych przestraszać czytelników „Świata", ile to w zeszłym roku było gości, a ile w obecnym sezonie, sądzę, że wystarczą dane ogólne. Z państwowych uzdrowisk np. frekwencja w Ciechocinku wzrosła o 12%, w Druskienikach o 4%. Naogół frekwencja tegoroczna utrzymała się mimo kryzysu na poziomie roku zeszłego. W Zakopanem, naprzykład, sezon był bardzo dobry, w Truskawcu zwiększenie ilości gości, w Zaleszczykach też było pełno, mimo znacznej odległości od centrum kraju i trudności dojazdowych.

— Wnoszę z tego, że wzrost frekwencji nie obejmuje równomiernie wszystkich uzdrowisk?

— Istotnie, powodzeniem zdecydowanie cieszą się uzdrowiska, stojące na wyższym poziomie pod względem urządzeń leczniczych, kulturalnych i towarzyskich. Miejscowości, które nie mogły, czy nie potrafiły urządzić się na skalę europejską, wykazują z roku na rok spadek frekwencji. Jest to zresztą zupełnie naturalny objaw — to też starania rządu idą w kierunku wywarcia nacisku na zakłady uzdrowiskowe i klimatyczne, celem dostarczenia kuracjuszom maximum wygód po możliwie najniższych cenach.

— Jak się, panie ministrze, wyraża w cyfrach stosunek uzdrowisk państwowych do prywatnych?

— Mimo, że mamy w Polsce około 50 uzdrowisk, owe cztery uzdrowiska państwowe grają dominującą rolę i nadają niejako ton polskiemu zdrojownictwu. Ilość kuracjuszy w państwowych zdrojowiskach wynosi mniej więcej połowę kuracjuszy wszystkich prywatnych zdrojowisk.

— Odnoszę wrażenie, że zdaniem p. ministra kryzys i ciasnota gotówkowa nie dotknęły przemysłu uzdrowiskowo-klimatycznego?



DR. EUGENJUSZ PIESTRZYŃSKI

— Tak nie można stawiać kwestji. Mimo tej samej ilości kuracjuszy, obroty gotówkowe zmalały znacznie. Nie jest to bez znaczenia, jeśli chodzi o możliwości inwestycyjne i napewno wstrzyma tempo rozwoju poszczególnych uzdrowisk. Mnie jednak, jako lekarza i obywatela, interesuje raczej, ilu ludzi się leczy; a czy kuracjusze kąpią się w łazienkach pierwszej lub drugiej klasy, czy wydają oni więcej lub mniej na kawiarnię, pensjonat i t. p., pozostaje bez większego wpływu na ich kurację. Mogę stwierdzić tylko, że *lecznictwo wskutek kryzysu nie ucierpiało*, co *z punktu widzenia lekarskiego jest zadawalające*. Spada też znacznie odsetek zażaleń i skarg. Jest to optymistyczny prognostyk, jeśli chodzi o frekwencję w latach następnych.

— Jaki jest stosunek Państwa do zdrojownictwa?

— Państwo jest wybitnie zainteresowane w rozwoju zdrojownictwa i w granicach swych możliwości idzie mu jaknajdalej na rękę. Chodzi tu bowiem, po za gospodarczem znaczeniem, o jedno z najważniejszych zagadnień, o stan zdrowia obywateli. Muszę szczególnie podkreślić stanowisko ministerstwa skarbu wobec zdrojowisk rządowych. Czyni ono wszystko, by dać nam możność rozwoju inwestycji, nie nalegając zbytnio na amortyzację kapitału w pierwszych latach. Jest to znaczne ułatwienie gospodarki i rozwoju.

— Jeszcze jedno pytanie, panie ministrze, nieco niedyskretne. Jaką porę roku uważa pan osobiście za najwłaściwszą do odpoczynku?

— Urlop mój spędzam od wielu lat w Krynicy późną jesienią, dlatego, że tę porę roku uważam za najniezdrowszą w naszym klimacie, chcę więc oszczędzić sobie ryzyka zaziębień. Nie uważam, by ogólny pęd do wyjazdów w dwu miesiącach letnich był, z lekarskiego punktu widzenia, słuszny zwłaszcza dla urzędników. Przecież w lecie mamy przed i po urzędowaniu wiele światła i słońca, można więc i bez wyjazdów podtrzymać siły przez spacery, wycieczki, a nawet kąpiele słoneczne. W jesieni i w zimie przed i po godzinach urzędowych jest ciemno, trudno więc o przechadzki podczas tych pór roku. W ostatnich latach sfery urzędnicze coraz chętniej korzystają z urlopów w okresie zimowym. Jest w tem wiele racji, gdyż czas ten nadaje się idealnie do wypoczynku i kuracji.

Jelaud

Zagadnienie przeludnienia kuli ziemskiej

2)

Zamieszczamy dzisiaj dokończenie niezmiernie ciekawych wywodów na ten temat prof. Jerzego Lotha. Pierwsza szęść artykułu ukazała się na czele poprzedniego numeru „Świata".

W roku 1922 amerykański antropo-geograf Ellsworth Huntington-Frank ustalił teorję „energji klimatycznej" i skonstruował mapę ilustrującą, w jakim stopniu produkcja człowieka uzależniona jest od miejscowych warunków klimatycznych. W tym samym roku australijczyk Griffith Taylor dąży do określenia obszaru, nadającego się do zamieszkania i gospodarczego wyzyskania. Obliczenia swoje ogranicza jednak wyłącznie do zasięgu osadnictwa rasy białej, pozostawiając na stronie kraje gęsto zaludnione i opanowane przez inne rasy, głównie mongolską. Dwa lata później, w roku 1924, występuje słynny antropogeograf niemiecki A. Penck, uważając stosunek liczby ludzkości do środków wyżywienia za główny problem antropogeografji. Opierając się na przesłankach klimatyczno - glebowych, dochodzi do wniosku, że podniesienie zdolności wyżywienia uzależnione jest od stopnia kultury mieszkańców, którego następstwem jest większa lub mniejsza ich zdolność wyzyskania warunków fizjograficznych. Ponieważ stopień kultury jest rozmaity, przeto warunki te nie wszędzie zostały wyzyskane w stopniu jednakowym, wskutek czego powstały anomalje ujemne w stosunku do potencjalnej gęstości zaludnienia. Tę ostatnią Penck oblicza na podstawie skonstruowanego przez siebie wzoru : $Z = \frac{L. K. i}{n}$, podług którego potencjalną ilość mieszkańców otrzymuje się przez pomnożenie powierzchni pól (L) przez ich wydajność, będącą wynikiem klimatu, gleby (K) i stopnia kultury rolnej (i), oraz podzielenie otrzymanej liczby przez zużycie na głowę (n). Opierając się na pracach meteorologa Köppena, wyszukuje następnie poszczególne strefy klimatyczne, gęściej zaludnione, mnoży ich powierzchnię przez potencjalną gęstość zaludnienia (Z) tychże obszarów i otrzymuje w ten sposób maksymalną liczbę ludzkości.

Obliczenia te dały Penckowi cyfrę 8 — 9 miljardów. Znamienne jest, że angielski antropogeograf C. B. Fawcett w roku 1930-m doszedł do podobnego wyniku, przeprowadzając rozumowanie w zgoła odmienny sposób. Oblicza on powierzchnię nadającą się pod uprawę na podstawie granic klimatycznych, opartych o pewne minimum termiczne i pewne minima opadów i otrzymuje obszar o powierzchni 90 miljonów klm^2. Obszar ten Fawcett następnie redukuje na podstawie analogji z krajami najgęściej zaludnionemi i dochodzi do wniosku, że najwyżej 45 miljonów klm^2 stanowi ziemię, nadającą się pod uprawę. Daje to liczbę 4½ miljardów hektarów. Wychodząc z założenia, że przy dzisiejszej przeciętnej wydajności pól jeden hektar może wyżywić dwóch mieszkańców — otrzymuje liczbę 9 miljardów ludności kuli ziemskiej, jako maksymalną.

Ponieważ dwaj niezależni od siebie uczeni różnemi metodami dochodzą do podobnego rezultatu, przeto możemy przypuszczać, że liczba przez nich ustalona posiada cechy prawdopodobieństwa.

Ale ludzkość istnieje wszakże już dziesiątki tysięcy lat, a liczba jej dosięgła dopiero 2 miljardów. Wydawaćby się zatem mogło, że czas, w którym nastąpi przeludnienie kuli ziemskiej, jest jeszcze bardzo oddalony. Gdy sobie jednak uprzytomnimy, że wzrost liczby ludzkości jest raczej podobny do rachunku procentów złożonych, to na podstawie ostatniego okresu podwojenia ludności kuli ziemskiej, który trwał od 1840 — 1930 r., czyli tylko lat 90, moglibyśmy dojść do wniosku, że liczba 9 miljardów osiągnięta zostanie już około roku 2125, czyli za lat niespełna dwieście. Geograf Wagner obliczył, że w ciągu ostatnich 50-ciu lat średni przyrost roczny wynosił 57%. Opierając się na tej podstawie, Penck stwierdził, że nasycenie ziemi ludnością nastąpi za lat 300.

Gdyby tak było w istocie, to zagadnienie przeludnienia stałoby się dla ludzkości już wkrótce groźbą poważną, nad którą nie możnaby przechodzić obojętnie do porządku dziennego. Na szczęście wszakże — tak źle jeszcze nie jest, a mianowicie z dwuch powodów: po pierwsze, jak nowsze badania wykazały, szybkość przyrostu ludności nie tylko nie jest stałą, lecz przeciwnie ulega w pewnych warunkach gwałtownemu zmniejszeniu; po drugie zaś, produkcja środków żywności, surowców i artykułów pierwszej potrzeby wzrasta w ostatnich lat dziesiątkach znacznie szybciej, aniżeli przyrost ludności.

Zbadanie ścisłe zagadnienia pierwszego jest niezmiernie trudne, ze względu na brak danych statystycznych w okresach dawniejszych. Dążąc do oparcia wywodów na danych, sięgających jaknajdalej wstecz, stwierdzono, że w Chinach istnieją szczegółowe zapiski archiwalne, podatkowe, za kilka tysięcy lat. Znaleźli się badacze, którzy opierając się na tych zapiskach, odtworzyli obraz ewolucji liczbowej ludności w Chinach. W ten sposób kraj, którego ludność dziś jeszcze szacuje się w przybliżeniu, stał się wyjściowym dla teorji, znajdującej poparcie w krajach o wysokiej kulturze i znacznem zagęszczeniu ludności. Krzywa ludności Chin wykazuje przez setki lat wzrost mały; następnie zaś około roku 1500-go występuje gwałtowny przyrost ludności, który od roku 1750-go zaczyna się stopniowo zmniejszać, zaś począwszy od roku 1850-go zupełnie ustaje. Ponieważ Chiny właściwe są krajem o najstarszej kulturze i bardzo gęsto zaludnionym, przeto nasuwa się przypuszczenie, iż przyrost ludności zmienia się podług pewnych praw. Wyniki tych badań umożliwiły przeprowadzenie analogji krzywych innych krajów z krzywą Chin, przyczem można było skonstatować, że krzywe Francji, Niemiec i Włoch, a nawet Stanów Zjednoczonych A. P. stanowią pewne odcinki krzywej Chin. W krajach tych ewolucja przyrostu liczbowego ludności nie osiągnęła jeszcze tego stopnia dojrzałości, co w Chinach, temniemniej znajdują się one na tej samej drodze rozwoju, gdyż pierwsze oznaki zmniejszania się przyrostu dają się tu już wyraźnie zaobserwować.

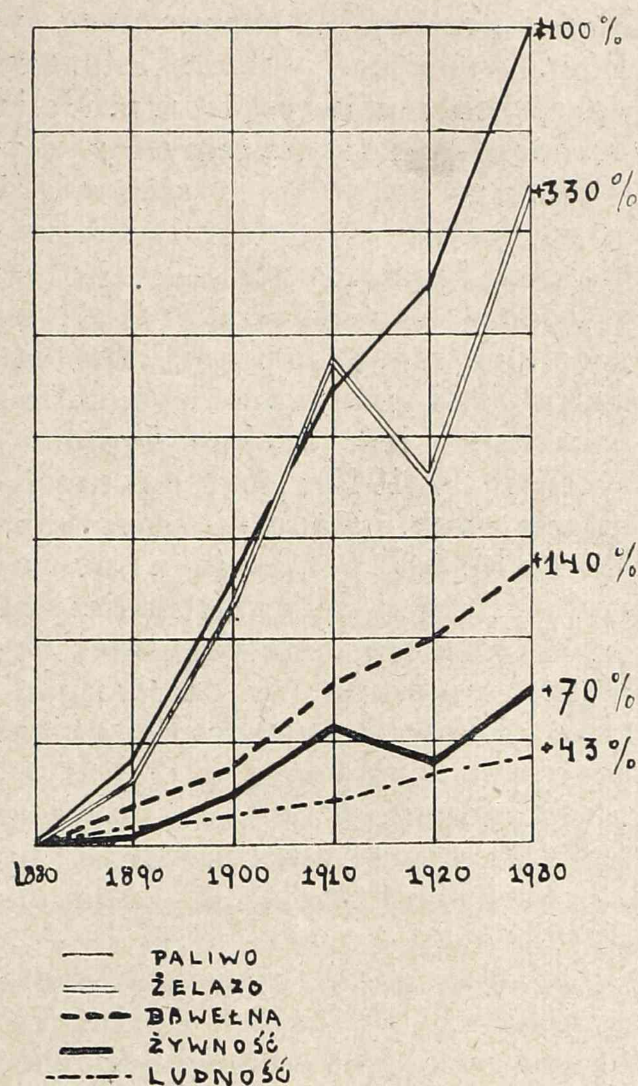
W istocie faktem jest, że liczba urodzin zmniejszyła się w Anglji i w Niemczech w ostatnim wieku o 50%, przyczem skonstatować można, że proces ten postępuje w bardzo szybkiem tempie w wielu innych krajach. Przyczyny tego zjawiska leżą w zagadnieniach socjalnych. Szybko wzrastająca liczba ludności powoduje brak pracy na ziemi, czego wynikiem jest ucieczka ze wsi do miast w poszukiwaniu pracy i wzrastająca stąd urbanizacja. W miastach wyżywienie dzieci jest trudniejsze, czego wynikiem jest zmniejszenie się liczeb-

ności dzieci, których w miastach jest o połowę mniej, niż na wsi, w stosunku do liczby ludności. Na wsi, ponadto, religja i tradycje ludności przeciwdziałają zmniejszaniu się liczby przyrostu naturalnego, podczas gdy zerwanie ze ścisłem przestrzeganiem zasad religji wywołuje w miastach silną reakcję w procesie zwiększania się naturalnego przyrostu ludności. W pierwotnym ustroju kapitalistycznym dziecko jest dla proletarjatu korzyścią dla rodziny, gdyż wcześnie musi pracować i zarabiać. Natomiast, wskutek nowoczesnego ustawodawstwa społecznego staje się ono ciężarem dla niezamożnej rodziny miejskiej. Zależność stanowiska w mieście i dążność do podnoszenia się na drabinie społecznej również powodują, że dziecko w mieście staje się ciężarem. Zjawisko to trafnie określił socjolog francuski Dupont mianem „la capilarité sociale". Dążenie do komfortu, zaznaczające się szczególnie charakterystycznie w Stanach Zjednoczonych A. P., również prowadzi do ograniczania rodziny. Ciekawem będzie nadmienić, że nawet czarni w U. S. A., osiedleni w miastach na północy, mają trzy razy mniejszy przyrost naturalny, aniżeli ich ziomkowie, osiedleni na wsi w stanach południowych.

Wszystkie przytoczone powyżej czynniki potwierdzają teorję zmniejszania się przyrostu naturalnego, ustaloną przez Usher'a i Baker'a na przykładzie Chin, której objawy dają się wyraźnie zaobserwować w wielu innych krajach. Można już dziś z całą pewnością twierdzić, że ewolucja przyrostu ludności w czasach nowożytnych zadaje kłam teorji Penck'a, wobec czego przewidziany przez niego termin nasycenia kuli ziemskiej ludnością ulegnie z pewnością znacznemu przedłużeniu.

Drugie zagadnienie — produkcji żywności i surowców — możemy ująć w formie daleko bardziej ścisłej, gdyż jest ono objęte nowoczesnemi statystykami. Wprawdzie statystyki te dotyczą tylko ostatnich dziesiątków lat i też niezawsze są wyczerpujące, temniemniej wyraźnie oświetlają zagadnienie. Wystarczy rzucić okiem na podany poniżej wykres, aby się przekonać, jak dalece wzrost produkcji wznosi się szybciej, aniżeli wzrost liczby ludności. Linja środków żywności obejmuje tylko najważniejsze i najbardziej masowe: pszenicę, żyto, jęczmień, ziemniaki i ryż, przeliczone na jednostki odżywcze. Linja paliwa obejmuje węgiel i ropę, obliczone według jednostek kalorycznych. Stan w roku 1880 przyjęto jako 100%. Wprawdzie stwierdzić należy, iż aczkolwiek w tym samym okresie potrzeby człowieka znacznie wzrosły i spożycie na głowę powiększyło się wybitnie, to jednak gwałtowny wzrost produkcji, przewyższający znacznie przyrost ludności, raczej uzasadnia kryzys obecnie przez ludzkość przeżywany, a w każdym razie obala obawy Malthusa co do niedostatecznego przyrostu środków do życia.

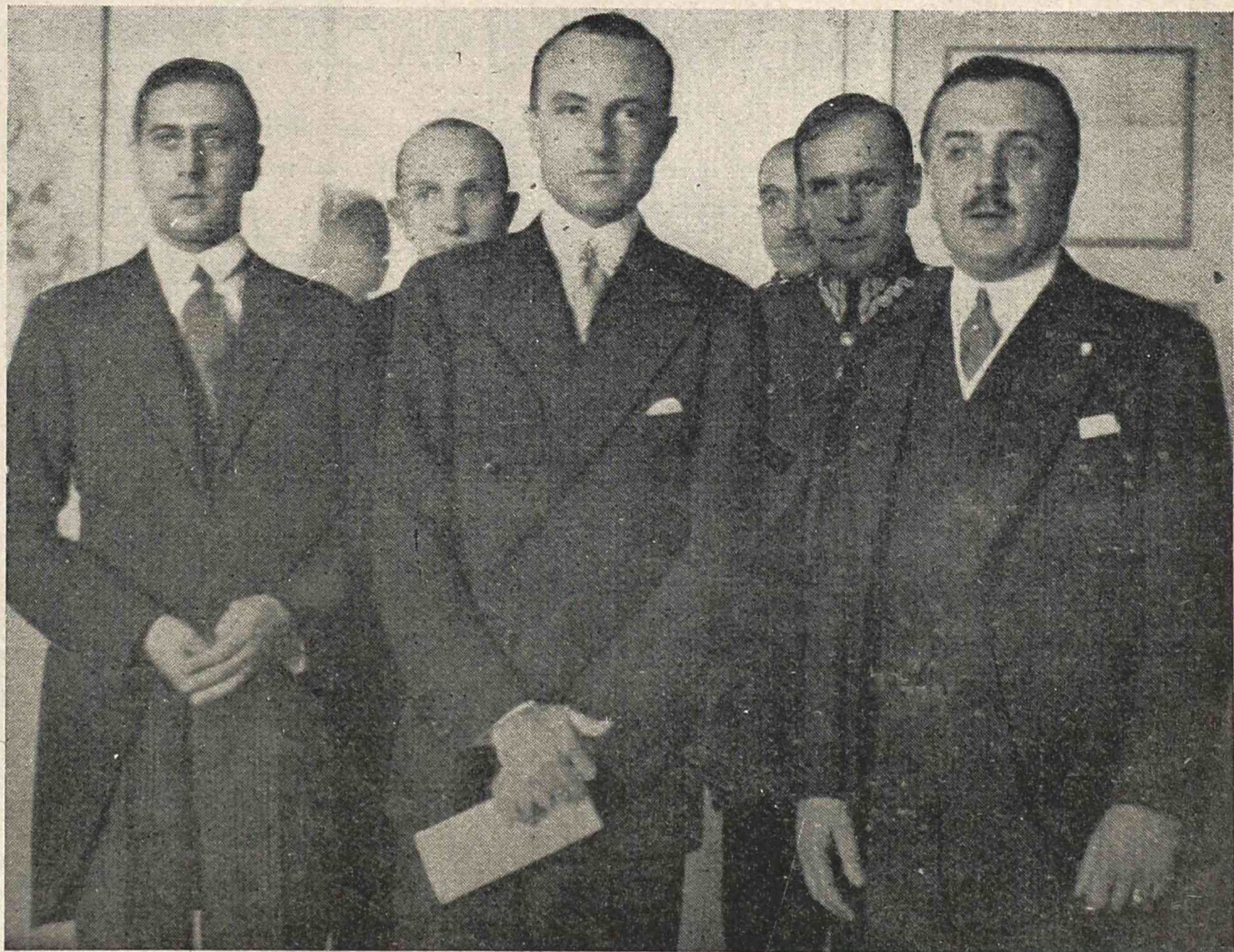
Rozwój ludności i produkcji ważniejszych surowców 1880 — 1930 r.



Przeciwstawiając wolną przestrzeń życiową szybkości rozwoju liczebnego ludzkości oraz wzrostowi produkcji, prof. Zierhoffer dochodzi do następującego wniosku: „Skoro przestrzeń życiowa zaledwie w niedużym odsetku jest wyzyskaną, skoro ludność przyrasta coraz wolniej i coraz wolniej swobodną jeszcze przestrzeń będzie zmuszona zajmować, skoro wreszcie produkcja żywności i surowców, w ostatnim przynajmniej okresie — prześciga wzrost ludności, tedy trudno mówić o bliskiej groźbie przeludnienia, gdy sprawę obejrzymy z geograficznego punktu widzenia. Jeśli jednak, mimo to, objawy przeludnienia obserwujemy, to najwidoczniej mają one podłoże inne, nie geograficzne. Fakt zaś, że pod geograficznym kątem widzenia nie widzimy przeludnienia, bo przeczy tezie o przeludnieniu stosunek człowieka do przestrzeni i surowców, stwarza pewność, że niepokojące objawy są wybitnie przejściowe.

Jerzy Loth.

Książę jugosłowiański w progach polskich



Urządzoną w lokalu Ligi Polsko-Jugosłowiańskiej w Białogrodzie wystawę obrazów Edwarda Okunia p. n. „Piękno Adrjatyku", odwiedził książę Paweł, stryjeczny brat króla, (w środku), witany przez naszego posła Wł. Schwarzburg-Günthera (na prawo) w otoczeniu członków poselstwa: sekretarza W. Malhomme (na lewo), attaché prasowego X. Glinkę i attaché wojsk. ppułk. M. Starżyńskiego.

Nowy ambasador Stanów Zjednoczonych

P. Ferdynand Lamot Belin, nowy ambasador Stanów Zjednoczonych, jest zawodowym dyplomatą. Po dłuższej przerwie prezydent



Stanów Zjednoczonych reprezentowany jest w Polsce przez dyplomatę „de carrière", nie zaś przez wybitnych ludzi, którzy odznaczyli się w innych dziedzinach życia i oddali usługi prezydentowi lub jego partji.

P. Belin pochodzi ze starej rodziny amerykańskiej; jego przodkowie, jak zresztą wskazuje na to nazwisko, byli Francuzami. Jest on spokrewniony ze słynnymi du Pont de Nemours, twórcami wielkiego przemysłu chemicznego w Półn. Ameryce. Młode lata, po opuszczeniu uniwersytetu, p. Belin przepracował w przemyśle; zajmował różne wysokie stanowiska w wielkich przedsiębiorstwach węglowych i metalowych.

Podczas wojny wysłany był ze specjalną misją do Chin, jako doradca posła amerykańskiego. Odtąd zaczęła się jego karjera dyplomatyczna. W 1919 r. był już urzędnikiem dep. stanu — amerykańskiego M. S. Z. P. Belinowi powierzano trudne i delikatne misje: był on sekretarzem amerykańskiej delegacji w Lozannie w 1923 r., podczas rokowań tureckich, potem pracował w ambasadzie w Paryżu i w Londynie i był sekretarzem gen. delegacji amerykańskiej na morską konferencję w Londynie w 1930 r.

Ostatnio pełnił obowiązki szefa protokułu. W Stanach Zjedn. jest to stanowisko wyjątkowo odpowiedzialne i wymagające wielkiego taktu i doświadczenia. Formalnie przydzielony do dep. stanu, dygnitarz ten jest najbliższym doradcą prezydenta.

Państwo Belin zamieszkali w pałacyku przy ul. Matejki i bardzo sobie chwalą warszawskie mieszkanie, tembardziej, że jest ono w pobliżu klubu tennisowego, łyżwiarskiego i innych sportowych instytucji.

j. s.

PIĘKNE PANIE W SALONACH „ZACHĘTY"

Powołać się mogę na autorytet całej historji, sztuki, literatury i innych bardzo wzniosłych umiejętności, że kobieta pragnie być piękną. I nie tylko piękną, ale uroczą, wykwintną, kobiecą, odurzającą, czarodziejką. Od czasów X dynastji egipskiej aż po obecny salon w „Zachęcie" nic się pod tym względem nie zmieniło i próżno szukać takiej bohaterki, któraby pozwoliła przyprawić sobie kwadrat w miejscu nosa, zamiast płonących oczu wsadzić dwa trójkątne kuby i znosiła obojętnie popstrzony i powykręcany biust... Chyba, że nie jest damą...

To całkowite zamiłowanie kobiet do paseizmu w sztuce, a do młodości w życiu wytworzyło taką perfidję malarską, że prawie nie spotyka się na obszarze muzeów i galeryj podobizn brzydkich kobiet...

Same piękne, a jeśli nie Wenus milońskie, to tajemnicze Giocondy, królewskie dogaressy, demony, najsłodsze oblicza anielskie lub urocze, republikańskie Marjanny...

Malarz portretów kobiecych musi być grzeczny i znać się na pochlebstwach; u gburów damy się nie portretują.

Zresztą pożyteczne jest takie kłamstwo, bo umila życie i nikomuby z tego nic nie przyszło, gdyby się dowiedział, że praprababka jego nie była anielicą, ale rzeczywistym hipopotamem.

Z żalem jednakże stwierdzić trzeba, że polscy malarze, posiadając najpiękniejsze w świecie modele, arcytwory kobiecości,tak mało się niemi interesowali.

Jest to jedna z tych nieprzyzwoitości, jakich się dopuścić mogą impertynenci, złośliwcy i plotkarze, którzy chcą nawet o pięknej kobiecie opowiadać prawdę i wolą jej przypiąć łatkę, niż odegrać rolę mistrza z „Salon de beauté". Zupełnie inaczej, niż angielscy lub francuscy portreciści, którzy już w XVIII stuleciu skoncypowali bardzo ścisłe przepisy upiększania dam. Dlatego też Anglicy i Francuzi posiadają znakomity portret kobiecy i piękności ich słyną po całym globie ziemskim, a Polacy - · nie.

Nie wszystko jednak stracone.

Obecny „Salon w Zachęcie" każe przypuszczać, że wreszcie i polscy malarze zaczynają oszałamiać się kobietami.

A potrzeba było na to aż druzgocącego kryzysu, aby wszystkie inne powaby życia zamknęły się przed malarzem i pozostało mu tylko to jedno oszołomienie.

Gdybym więc był piękną kobietą, czułbym się przygnieciony nawałem zajęć i biegłbym od pracowni pani Bobińskiej do pana Borzyma, naciągałbym sportowy kostjum, aby się podobać p. W. Dyzmańskiemu, przywdziewałbym niebieskie kolory, aby p. Grabarz Antoni stworzył z nich piękną harmonję, jak na portrecie swej żony, pragnąłbym tej wytworności, jaką obdarza swe modele Ludwik Grabowski, R. Kawecki lub Jadwiga Jaroszyńska, ryzykowałbym nawet podróż po wzburzonych bałwanach morskich, aby być tak piękną, jak dama na portrecie Wojciecha Kossaka, lub tak reprezentacyjną, jak portret pani adwokatowej, pędzla M. Koźniewskiej.

Czyż nie pociągającą jest solidność pana Krawczyka, dobry ton M. Lauransa, Cz. Kuryatty, majestatyczność Łuczyńskiej - Szymanowskiej lub Blanki Mercère? Gdybym był kobietą, do galerji rodzinnej ofiarowałbym swój portret pędzla Tadeusza Marczewskiego; byłaby to klasyczna i trwała ozdoba. Do gabinetu najstarszego syna, który jest nygus lecz postanowił zdystansować Kusocińskiego, wstawiłbym podobiznę moją, malowaną przez Nehringa, miałbym książkę w ręku i rozumną twarz. Niechby brał z matki przykład. Do gabinetu męża zamówiłbym portret u p. W. Piątkowskiej, aby wiedział, że nawet jako wdowa umiałabym być czarująca, p. Niesiołowski St. zrobiłby mą podobiznę dla przyjaciela, z pracowni p. Nirnsteina Z.,



JÓZEF MEHOFFER: PORTRET

Tańskiego Cz. i Norbiina wogóle bym nie wychodził.

To są portreciści, którzy przykuwają do siebie każdą piękną kobietę.

Witołd Bunikiewicz.

PORTRETY KOBIECE POLSKICH MALARZY



Stefan Norblin: Portret pani ministrowej Janickiej w Salonie dorocznym „Zachęty"



Irena Łuczyńska-Szymanowska: Portret art. dram. H. Różańskiej w Salonie dorocznym „Zachęty"

Fot. A. Janczewskiej

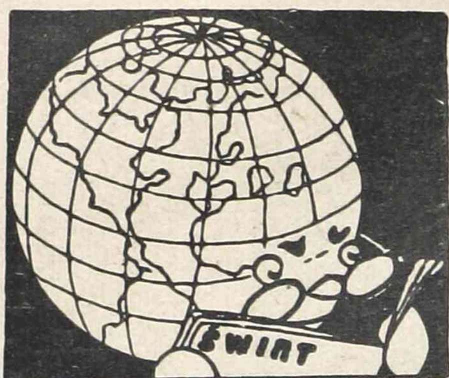


Dwie przyjaciółki



Portret pani Z. L.

Nowe portrety Czedekowskiego (Paryż)



TYDZIEŃ ŚWIATA

Ruch w naszej dyplomacji

Trzeba przyznać, że ostatnich przesunięć na placówkach dyplomatycznych dokonano nader szczęśliwie. Minister Patek, po zakończeniu sprawy polsko-sowieckiego paktu o nieagresji, zasłużył sobie na zaszczytne stanowisko ambasadora Polski w Waszyngtonie. Nie wymaga ono takiego nieustannego napięcia nerwów, takiego stanu pogotowia psychicznego, jak posłowanie w Moskwie, a jednak jest natyle doniosłe, że musi być obsadzone przez człowieka poważnego, doświadczonego, zrównoważonego. Na ten spokojny i ważny zarazem posterunek p. Patek nadaje się, jak nikt inny.

W Moskwie zastąpi go człowiek znacznie młodszy, pełen energji, ale też rozwagi i taktu, dotychczasowy poseł nasz w Wiedniu, p. Juljan Łukasiewicz. Do Bukaresztu idzie jeden z najzdolniejszych dyplomatów polskich młodszego pokolenia, p. Mirosław Arciszewski.

Powierzenie tym dwu młodym dyplomatom pierwszorzędnych dla naszej polityki zagranicznej placówek świadczy nietylko o należytej ocenie ich walorów, ale też o dokonaniu wyboru pod właściwym kątem widzenia fachowości i uzdolnień, co tem bardziej należy podnieść, że coraz rzadziej zdarza się przy nominacjach.

Poczta w nowej roli

(r). Ministerstwo Poczt i Telegrafów zainicjowało „paczki żywnościowe", t. j. przesyłki pocztowe artykułów spożywczych. Celem tej inowacji ma być nawiązanie bezpośrednich stosunków między konsumentem a producentem, uniknięcie kosztownego pośrednictwa. Oczywiście — także i zwiększenie dochodów Ministerstwa.

W pierwszej chwili pomysł ten budzi wrażenie: — Oto zacne Ministerstwo chce przyjść z pomocą biednym mieszkańcom wielkich miast, pragnie dopomóc im w uzyskaniu zdrowych produktów żywnościowych po tańszej cenie! A drobnym rolnikom — zbyt ich produktów.

Ale, jeśli wejrzeć bliżej w tę sprawę, nasuwa się objekcja: — Co to jest, owo pośrednictwo, które się w ten sposób uśmierca? Żydowski proletarjat naszych małych miasteczek, wiodący już teraz niesłychanie nędzny żywot. I w pewnej mierze—nasze drobne mieszczaństwo. Co będzie, jeśli im się odbierze główne źródło zarobków? Czy nie przybędą nowe, wcale znaczne zastępy bezrobotnych?...

Jeszcze większe wątpliwości budzi sposób, w jaki Ministerstwo Poczt i Telegrafów zabrało się do realizacji tego pomysłu. Podjęto wydawnictwo pisma „Łącznik pocztowy", które ma zamieszczać ogłoszenia producentów, poszukujących zbytu dla swoich towarów. Innemi słowy, Ministerstwo Poczt i Telegrafów zakłada przedsiębiorstwo komisowo-ogłoszeniowe, zapoczątkowując konkurencję z wydawnictwami prywatnemi, może nawet podkopując niektórym z nich egzystencję. Lecz nie o to chodzi. Przywykliśmy do tej etatystycznej bezwzględności. Tak samo przecież P. A. T. sięga po ogłoszenia kolejowe „Ruchu", kooperatywy wydawców całej Polski, funkcjonującej wzorowo i zasługującej raczej na poparcie, niż na zwalczanie. Taka już jest tendencja.

Czy jednak w Ministerstwie pomyślano o innych konsekwencjach, jakie mogą wyłonić się z tej akcji ogłoszeniowo - spożywczej? Czy można ufać, że wędliniarz z Sempolna lub Oszmiany, handlarz jajek z Hrubieszowa, hodowca gęsi i kaczek z pod Kościerzyny lub z pod Drohowyża uczciwie wykona zapowiedzi, sformułowane w zapłaconych ogłoszeniach? Czy nie będzie się zdarzać, że po paru udatnych tranzakcjach ta i owa gospodyni otrzyma kiełbasę, w której wieprzowinę zastąpi mięso mniej znanego pochodzenia, albo też dostanie — masło gorzkie, jajka nieświeże, gęś twardą i suchą? W jaki sposób będą uwzględnione przepisy weterynaryjne? I przedewszystkiem — na kim skrupi się niezadowolenie odbiorcy? Oczywiście na Ministerstwie, którego organ, „Łącznik pocztowy" drukował owe ogłoszenia.

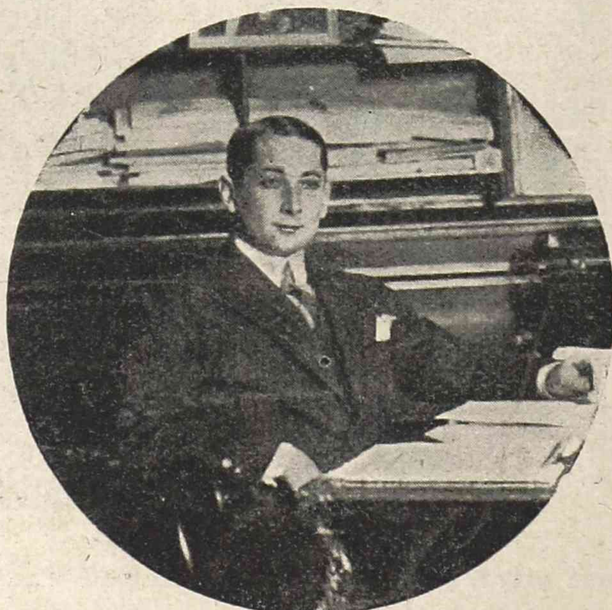
Nie wydaje nam się, aby pośrednictwo przy sprzedaży masła, jajek, kiełbas i gęsi było misją właściwą dla Ministerstwa Poczt i Telegrafów. Niech już lepiej handlarze małomiasteczkowi użerają się z chłopami o owe produkty, niech na nich spadają gorzkie żale zawiedzionych gospodyń. A pomysłowi inicjatorzy, żerujący zwykle na tego rodzaju kombinacjach, niech lepiej idą krzepić się gdzieindziej.

Ratujmy owce

Od kilkudziesięciu lat daje się w Polsce zauważyć niepomyślne zjawisko zaniku hodowli owiec. I ciekawe: w miarę, jak rozwijał



STANISŁAW PATEK



MIROSŁAW ARCISZEWSKI



JULJAN ŁUKASIEWICZ

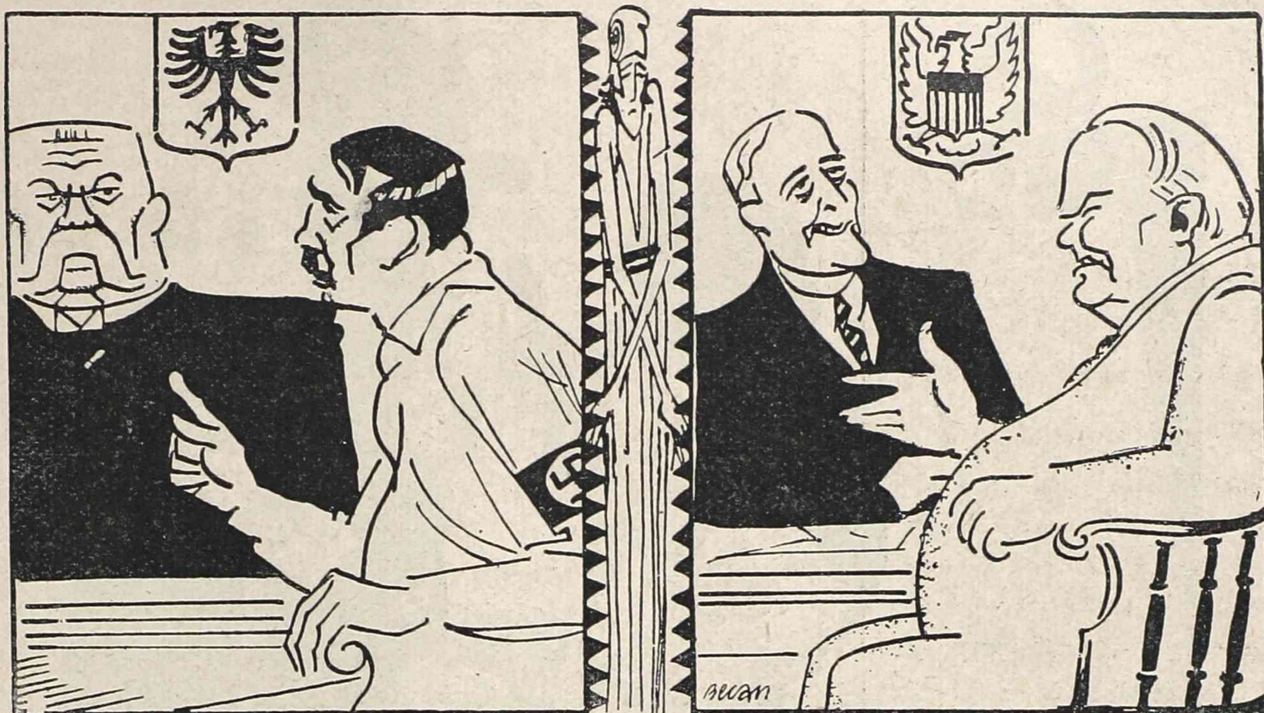
się u nas przemysł wełniany, kurczyło się owczarstwo krajowe, aż zeszliśmy pod tym względem na szary koniec tabeli statystycznej Europy. Gdy Rosja posiadała w 1927/28 r. 124 mil. owiec, Niemcy 10 mil., sąsiednia Rumunja 13 mil., myśmy nie mogli się doliczyć nawet 2 mil., czyli że ilość owiec zmniejszyła się u nas nawet w porównaniu z latami wojennemi.

Ten zastraszający pod względem gospodarczym stan przeszedłby zapewne bez wrażenia, gdyby w ostatnich czasach sfery wojskowe nie zainteresowały się tą sprawą z punktu widzenia obrony państwa. Samowystarczalność pod tym względem jest bowiem kanonem wojskowości, tymczasem dalekośmy od niej odbiegli i bez dowozu wełny amerykańskiej i australijskiej nie mógłby nasz przemysł łódzki, tomaszowski, bielski i białostocki wcale istnieć.

Ostatnio ukazały się na ten temat w prasie alarmujące artykuły ppułk. dypl. Janusza Dżugaja, domagające się wstawienia do budżetu ministerstwa rolnictwa 400 tysięcznej pozycji na popieranie chowu owiec.

Może ten głos wojskowego wpłynie na zainteresowanie miarodajnych czynników kwestją, o której już zaczęliśmy zapominać, płacąc miljardy zagranicy za surowiec, który możemy i powinniśmy mieć w kraju.

Regulacja długów wojennych



W BERLINIE

Hitler do Hindenburga: Widzę, że w jednem wreszcie zgadzamy się: nic nie płacimy Francji

W WASZYNGTONIE

Hoover do Roosevelta: Z przyjemnością stwierdzam jednomyślność na jednym punkcie: Francja musi nam płacić.

Przeobrażenie

(K.). Z prowincji dochodzą niepokojące wieści o radvkalizowaniu się warstw chłopskich. Ostra bieda zajrzała pod strzechy. Ceny produktów rolnych spadły poniżej minimum. Emigracja ustała. Dopływu pieniędzy znikąd niema. Podatki gnębią. Zachwiało się przytem poszanowanie prawa...

Stronnictwo Ludowe, które wchłonęło Piasta, Wyzwolenie i Stronnictwo Chłopskie, ulega coraz silniej wpływom demagogów, dla których prawo własności stało się przeżytkiem. Reforma rolna bez odszkodowań czyni się hasłem powszechnem. Cóż więc dziwnego, że nawet umiarkowany p. Witos, pragnąc ratować swe stanowisko, ogłasza wyrok śmierci na ustrój kapitalistyczny.

Co z tego wyniknie?

Z dziejów romantycznej tragedji

(r.) Dla ludzi starszych, sięgających pamięcią w dalszą przeszłość, wielką sensacją była wiadomość o śmierci Aleksandra Barteniewa, zabójcy Wisnowskiej. Były oficer huzarów grodzieńskich, — który niegdyś żył w Warszawie na wielką stopę, miał wspaniałe ekwipaże, pławił się w zbytku, — zmarł w ostatniej nędzy, w t. zw. „Cyrku", w schronisku dla najbiedniejszych nieszczęśników.

W Warszawie teraz przebywał podobno od kilku miesięcy. Spotykano go często w okolicach ulicy Nowogrodzkiej, w pobliżu domu (№ 14), w którym rozegrała się ponura tragedja. Widocznie była ona najsilniejszem przeżyciem, punktem kulminacyjnym całego życia. Wszystkie wspomnienia i myśli kłębiły się nieodparcie w strudzonej głowie dokoła tej jednej szalonej nocy. Wisnowska przypłaciła ją śmiercią. On, błyskotliwy oficer gwardji, młody arystokrata rosyjski, ustosunkowany u dworu carskiego, — całą karjerą i życiem. Skazany w pierwszej instancji na 8 lat ciężkich robót i dożywotnie osiedlenie na Syberji, — później imperatorskim ukazem zesłany został, jako prosty żołnierz do jednego z pułków linjowych na Kaukaz. Po paru latach odzyskał wolność, wrócił do majątków, które posiadał w gub. Tambowskiej, zakopał się na wsi... Rewolucja bolszewicka zapewne wygnała go stamtąd, i we włóczędze po świecie dotarł do Warszawy, z którą łączyły go tak dramatyczne wspomnienia młodości.

A błąkając się przed domem, w którym zabił kochaną niewątpliwie kobietę, wyobraźnia nędzarza snuła może obrazy minionej bezpowrotnie przeszłości. Owo małe mieszkanie przy zbiegu ulic Złotej i Zgoda, na parterze, które zajmowała Wisnowska wraz z matką... Buduar japoński, w którym przyjmowała gości, przystrojona w pięknie haftowane kimono... Kolacje w Sielance i Wilanowie, które dla niej wyprawiał, na które sprowadzał całą orkiestrę pułkową, — pojąc trębaczów nieraz do białego rana szampanem. I wreszcie ów wieczór fatalny, inauguracja garsoniery, którą wyobrażał sobie — słusznie czy niesłusznie — jako upragniony przybytek rozkosznych upojeń, a która stała się grobem jego marzeń i aspiracji.

I oto dawny magnat, dziś zgłodniały rozbitek życiowy, wygnaniec, — wraca do miasta, w którym obłąkana namiętność młodzieńcza pchnęła go do strasznego czynu, i krąży koło domu, w którym mieściła się owa zaciszna, usłana dywanami garsoniera!...

Zupełnie jak w kinie.

Prezydent Hindenburg

Zapytał pewien dziennikarz feldmarszałka Paul'a von Hindenburga:

— Co robi pan, panie prezydencie, kiedy nerwy odmawiają panu posłuszeństwa?

— Gwiżdżę — odpowiedział 85-letni prezydent.

— Nigdy nie słyszałem, aby pan gwizdał...

— Nigdy też w życiu nie gwizdałem — zakończył rozmowę Hindenburg.



W sowieckiej razurze

Towarzysz Kuprejenko spojrzał na zegar, wiszący w biurze Komtorgprominu i z trzaskiem zamknął szafę z kartotekami, poczem głęboko odsapnął i wypuścił z płuc strugę powietrza. Odruch ten po skończonej pracy przyswoił sobie jeszcze za carskich czasów od tajnego radcy Suchotina, pod którego zwierzchnictwem pracował w zarządzie gubernjalnym. Odruch ten miał wpoić we wszystkich obecnych przekonanie, że Kuprejenko przez sześć godzin spędzonych w biurze uczciwie pracował i że z pracy swej jest zadowolony.

Pogładził się po policzkach i rzekł:

— Trzeba będzie ogolić się.

— Ogolić? A bon już macie, Matwieju Osipowiczu? — zapytał go Czystogan, młodszy referent urzędujący przy sąsiednim biurku.

— Bon? Jaki bon?

— Do cyrulika. Na ogolenie.

— Bon na golenie? Pierwszy raz słyszę.

— Ano nacjonalizacja razur i cyrulików. Rozporządzenie takie wyszło. Nie czytaliście?

— A któżby to mógł wszystko przeczytać? Sto lat pożyjesz, a wszystkiego nie przeczytasz. Ostatecznie powiedzcie, co mam teraz począć, chcąc się ogolić?

— Ano musicie pójść do domowego komitetu po numerek, a z numerkiem do komitetu dzielnicowego po właściwy bon do właściwego cyrulika.

Kuprejenko stosunkowo dosyć prędko otrzymał bon na ogolenie. Razurę wyznaczono mu wprawdzie na drugim końcu miasta, ale nie będzie przecież z powodu takiej bagateli robił kwestji.

Z tramwajem też mu się upiekło, bo zaledwie trzy przeszły przepełnione, w czwartym znalazło się miejsce dla jednej osoby. W ten sposób zanim upłynęły trzy godziny od wyjścia z Komtorgprominu Kuprejenko znalazł się w razurze.

Fryzjer spojrzał na numerek.

— 207 numer! Ho, ho. toć my dopiero przy 137 jesteśmy. Do was jeszcze daleko! Przyjdźcie jutro, towarzyszu.

— Przecież żywej duszy w razurze niema, to cóż to wam szkodzi ogolić mnie dzisiaj. Raz, dwa, trzy i będę ogolony.

— Tak nie można, towarzyszu. Porządek musi być. Teraz to nie to, co dawniej: jeden golił się codzień, a drugi raz na miesiąc. Teraz ma być równość.

— To kiedy każecie przyjść, towarzyszu - fryzjerze, rano czy wieczorem.

— Już lepiej wieczorem.

Nazajutrz Kuprejenko znowu pojechał do golarza. Okazało się, że jeszcze zawcześnie, bo zaledwie doszło do 151 numeru.

— Wyświadcz, towarzyszu, grzeczność i ogol. Nie mogę przecież chodzić nieogolonym. Żonę młodą mam. Niema dwuch tygodni, jak się ożeniłem. Znać mnie nie zechce. Sami powiedzcie, do czego to podobne. Broda rośnie a ogolić się nie można., — prosił Kuprejenko.

Fryzjer rozłożył ręce.

— Nic nie poradzę. Porządek musi być. Powiedziano: kolejka. Bo na cóżby numerki były?

— No, a powiedzmy, na ten przykład, że jeden z wcześniejszym numerkiem umrze. Co wtedy?

— To syn przyjdzie, albo inny spadkobierca.

— A przypuśćmy, że niema spadkobierców płci męskiej, albo że tylko małoletnie zostawił, co jeszcze nie golą się?

— To już nie moja głowa. To już WCFK albo Zjazd Delegatów niech rozstrzyga. A wy, towarzyszu, przyjdźcie pojutrze. A nuż podleci tymczasem.

— Rano czy wieczorem?

— Skądże mam wiedzieć? Przypuszczam, że wieczorem jakoś prędzej podejdzie numer. A wy, towarzyszu, jaki numer macie?

— 207.

— To już najlepiej przyjdźcie jeszcze później. Powiedzmy, w sobotę rano.

W sobotę rano Kuprejenko już miał niezgorszy zarost. Do słownika pieszczotliwych wyrazów, jakiemi obdarzała go młoda żona, przybył jeszcze wyraz „małpeczka".

O godz. 10 Kuprejenko zwolnił się z biura i pojechał do fryzjera.

— A wy, towarzyszu, macie już nowy numerek. Nową kolejkę zaczęliśmy. Tamte żółte numerki nieważne. Teraz idą niebieskie.

Kuprejenko był w rozpaczy. Mimowoli spojrzał w lustro i sam siebie nie poznał. Broda urosła mu, jak szczoteczka do zębów.

— Tak powiedzcie, towarzyszu - fryzjerze, co mam teraz robić?

— Ano pójść do domowego komitetu..

— Wiem, wiem, wiem i znowu do was jeździć, wydawać na tramwaje, zwalniać się z biura...

— Naturalnie, jeżeli chcecie ogolić się po sowiecku.

W głowie Kuprejenki zaświtało.

— To... to można... ogolić się także... nie po sowiecku?

— Oczywiście.

— A jak to się robi?

— Bardzo prosto. Schowajcie numerek do kieszeni, zapłaćcie 5 rubli i siadajcie na fotelu. Każecie, towarzyszu, z wodą kolońską czy bez?

Termidor





(Korespondencja własna „Świata" z Paryża)

Zaledwie Salon Automobilowy zamknął swe podwoje, a już Grand Palais zapełnił się okazami jeszcze nowocześniejszego środka komunikacji — płatowcami.

Zainteresowani oczekiwali otwarcia Wystawy awiacyjnej z wielkiem przejęciem. Wystawa ta bowiem odbywa się co 2 lata, a wiadomo przecież, że w ciągu dwóch ostatnich lat zdobycze w dziedzinie lotnictwa zrobiły wielkie postępy.

Wspaniała dekoracja wewnętrzna uderza głównie niesłychaną ilością świateł. U stropu z żelaznych wiązadeł i sprzęseł szklanego dachu Grand Palais, na tle dekoracji, która imituje obłoki, zwiesza się sześć potężnych żyrandoli. Dywany, któremi są pokryte wszystkie standy i przejścia między niemi, są koloru zielonego. Dekoracja ta jest bardzo szczęśliwie pomyślana, gdyż daje złudzenie nieba nad głowami i trawników lotniska pod stopami.

Obecny Salon awjacyjny znajduje się pod znakiem pokoju, a właściwie turyzmu lotniczego. Minął już czas, kiedy wystawy obfitowały w różnego rodzaju płatowce, przeznaczone do bombardowania lub do pościgu nieprzyjaciela. Już na poprzedniej wystawie w roku 1930 widziało się maszyny komunikacyjne, z któremi zaczynała zaznajamiać się szersza publiczność. Dziś one dominują. Oczywiście, że płatowiec nie stał się jeszcze przedmiotem pierwszej potrzeby, a nawet nie jest w stanie konkurować z samochodem. Jednak można powiedzieć, że główny wysiłek fabryk lotniczych objawił się w dziedzinie lotnictwa cywilnego turystycznego.

Od chwili tryumfalnego lotu Lindbergh'a, który pierwszy spopularyzował mały aparat zamknięty, nastąpił przełom w lotnictwie. Idea kabiny latającej coraz to większe znalazła zastosowanie i dziś pozostaje do rozstrzygnięcia jedynie pytanie, czy kabina ta ma rozporządzać dwoma, trzema, czy czterema miejscami, czy miejsca te mają być umieszczone jedno obok drugiego, czy też jedno za drugiem.

Na Salonie mamy cały szereg aparatów, w których należy jedynie zająć miejsce, aby samemu zadecydować, jak jest najwygodniej szybować w przestworzach. Oto Caudron t. zw. „Le phalène" 4-miejscowy o 4-ch drzwiczkach, Farman, znany konstruktor francuski, przedstawia całą gamę aparatów do użytku prywatnego: limuzynę, kabryolet, „grand sport". Blériot zastosowuje amfibię do celów turystycznych. Potez już od szeregu lat puścił w ruch maszynki powietrzne, dobrze znane pod nazwą „Potez 36", które pozbawione były dotychchczas komfortu i wykończenia wewnętrznego, ale znajdywały wielu zwolenników wśród turystów powietrznych... Obecnie aparaty te pod nazwą „Potez 43" są znacznie ulepszone.

Wśród młodszych konstruktorów, którzy również przerzucili się, jeśli nie całkowicie, to jednak w dużej mierze na awjację turystyczną, wymienić należy firmę Couzinet; maszyna ta, wspaniale urządzona wewnątrz, 4-o miejscowa, z trzema motorami, nadaje się na podróże prywatne po rozległych kolonjach Francji. Wreszcie aparat Firmy Bernard może najbardziej odpowiada warunkom chwili obecnej, gdyż skonstruowany jest całkowicie na wzór samochodu „latającego": wewnątrz dość szeroki, aby pomieścić dwie osoby, siedzące obok siebie — na przodzie i dwie na tylnem siedzeniu, przyczem kierownica jest w ten sposób urządzona, że można dowolnie zmienić w ruchu jej pozycję, to znaczy przenieść ją z lewej strony na prawą, umożliwiając osobom siedzącym na przodzie poprowadzenie aparatu na zmianę. Jest on całkowicie metalowy, skrzydła pokryto płótnem. Jako motory przewidziano Gipsy 120 lub 130 konne, ewentualnie motor Chaise o 100 lub 130 koniach.

Cena aparatów turystycznych waha się od 10.000 złotych do 25.000. Rząd francuski ogromnie propaguje rozwój lotnictwa prywatnego i do każdego zakupu prywatnego dokłada, dając specjalne premje, wynoszące od 10 do 17-u tysięcy złotych, w zależności od ilości pasażerów, zabieranych przez maszynę. Dzięki temu coraz więcej osób, zwłaszcza zamieszkałych w kolonjach afrykańskich, skąd podróże koleją nie należą do rzeczy łatwych, posiada własne aeroplany.

Należy zaznaczyć, że pomimo widocznego rozwoju turyzmu lotniczego we Francji, nie jest on w stanie rywalizować z lotnictwem prywatnem w Anglji, gdzie aeroplan zaczyna istotnie konkurować z autem.

Powróćmy jednak na wystawę. Do jej osobliwości należy „Savoia" Marchettiego, hydroplan - olbrzym z Włoch, który przyfrunął i osiadł na Sekwanie. Składa się on z dwóch kadłubów, zastępujących pływaki. Wewnątrz wykończony jest jak luksusowy wagon. 3 silniki umieszczone są ponad skrzydłem. Również jak wagon napowietrzny przedstawia się transportowiec Wibault-Penhoet, należący do linji „Cidna". Charakterystyczną cechą jego jest metalowe skrzydło dolne i szeroko rozpięte podwozie — co ułatwia lądowanie.

Wśród nowości, wystawionych na Salonie obecnym, wymienić należy aparat bez skrzydeł wynalazku hiszpańskiego inżyniera La Cierva, którego licencję na Francję nabyła firma Lioret i Olivier. Zamiast skrzydeł ma on rodzaj wieloramiennego dużego śmigła, umieszczonego na kadłubie. Śmigło to kręci się niezależnie od motoru i ma jakoby dawać o wiele większe szanse bezpieczeństwa. Aparat ten może lądować pionowo. Praktyczne jego zastosowanie da się dopiero określić po dłuższem wypróbowaniu, tymczasem wzbudza wielkie zainteresowanie na Salonie.

Drugą sensacją jest „Nieuport-Delage" bez powierzchni ogonowych. Skrzydła, silnie odchylone ku tyłowi, są samostateczne (auto-stable), a równowaga płatowca ma być zapewniona sterowaniem lotek, które zastępują jednocześnie ster głębokości. Tego typu maszyny dały dobre wyniki w Niemczech. Próby nowego Nieuport-Delage mają się zacząć w najbliższym czasie.

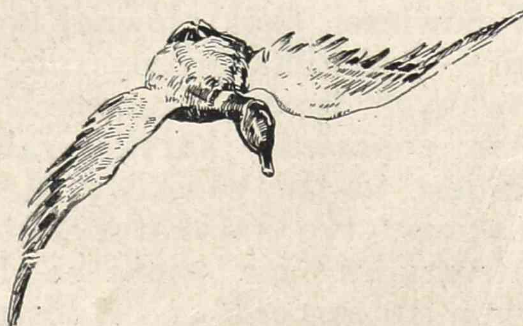
Wśród maszyn zagranicznych wzbudzają zaciekawienie angielskie „Hawkes-Hart", całkowicie zbudowane nie z duraluminium, lecz ze stali nierdzewiejącej.

Wymieniając maszyny, które specjalnie na Salon Paryski przybyły, należy również wymienić fabrykaty polskie: pościgówkę Puławskiego, która już na poprzednim Salonie zadziwiała oryginalną linją swych skrzydeł, a od tego czasu wykazała wielkie zalety techniczne, oraz aparat Żwirki i turystyczną maszynę Państwowych Zakładów Lotniczych.

Aparaty te przynoszą chlubę Polsce i stawiają ją w rzędzie państw, które na lotnictwo patrzą nie jako na pomocnicze narzędzie mordu, lecz jako na środek szybkiej komunikacji, zbliżającej lądy i ludy do siebie i sprzyjającej idei porozumienia narodów.

Emilja Brunerowa.

Paryż.



Świat książki

Kornel Makuszyński o pannach

Że w listopadzie dojrzewa po raz drugi jęczmień i maliny, a gdzieś tam w Kielcach sprzedawano poziomki — ostatecznie niema w tem nic osobliwego. Lecz fakt, że Makuszyński napisał książkę na cześć kobiety, a właściwie panny, świadczy najwymowniej, iż świat zaczyna się przewracać do góry nogami.

Wprawdzie ten pisarz, pełen wszelakich cnót chrześcijańskich, znany z ascetycznego żywota, całe życie zajmował się kobietą, jako tą najstraszniejszą sojuszniczką szatana, porównywując ją z rakiem wątroby, galopującemi suchotami oraz przyrządem do wyciskania cytryn, lecz widział w niej tylko wszelakie zło. Gdyby bowiem dobremu Bogu nie przyszedł szalony pomysł stworzenia kobiety, życie nasze utkane byłoby ze słońca i uśmiechów.

Najwidoczniej kobieta-wiedźma rzuciła swój czar i na tego niezdobytego człowieka, skoro, sprzeniewierzając się swoim dotychczasowym zasadom, w jednej książce odwołał wszystko, co napisał w pięćdziesięciu i mianował się bardem jakiegoś zwarjowanego podlotka.

Bohaterką ostatniej powieści Makuszyńskiego p. t. „Panna z mokrą głową" jest przemiła podfruwajka o złotem serduszku i obyczajach wandala. Żywot tej hałaśliwej i krzykliwej istoty o nadobnem imieniu Ireny opisał autor „Po mlecznej drodze" od dni najwcześniejszego zarania, maczając pióro nie w atramencie, lecz w słońcu, dobroci i sentymencie.

Irenka Borowska, to typ jasnego dziewczątka, będący w dzisiejszej epoce sportu, dancingu, równouprawnienia i wulgarnego flirtu okazem przedhistorycznym. Lecz kiedy większość pisarzy przedstawia współczesną pannę, jako wystrzyżoną, wymalowaną, kopcącą papierosy i trąbiącą wódkę niczem zawodowy dorożkarz, wampirzycę, Makuszyński zawędrował na cichą, zapadłą wieś, gdzie odnalazł swoją bohaterkę.

Dziewczątko to o sercu napełnionem słońcem miłości i temperamencie dzikiego tatarzyna — wypowiedziało zażartą wojnę smutkowi i zgorzkniałej apatji. Gdzie spojrzy, dokądkolwiek zwróci i kogokolwiek dotknie opaloną na bronz dłonią, tam zakwita czarodziejski kwiat radości, opada skorupa obojętności z serca i dokonywa się cudowna przemiana.

Krótki, lecz obfitujący w przygody i zawody życiowe żywot bohaterki jest jeszcze jednym wykładnikiem tezy, jaką przez całą swoją działalność pisarską głosi Makuszyński. Radość jest największym skarbem człowieka i najlepszą bronią do walki z losem; jest tym eliksirem, który leczy wszystkie rany i daje niezłomny hart ducha.

Tego rodzaju ustosunkowanie się do życia jest największą zasługą pisarską Makuszyńskiego, który



KORNEL MAKUSZYŃSKI

w szarą atmosferę polskiej melancholji rzuca garście uśmiechu i rozgrzewa samotne serca. Bo nawet człowiek najsmutniejszy zapomina przy jego książce o troskach dnia i niejednokrotnie rozchyla zaciśnięte wargi balsamem zdrowego śmiechu, rozkoszując się świetnym, choć nieraz mocno zwarjowanym humorem autora.

Ostatnia powieść Makuszyńskiego posiada wszystkie zalety jego pióra. Ładny język, wyrażający się długiemi, doskonale związanemi okresami, szczery humor i dowcip, opierający się na paradoksalnych zestawieniach i porównaniach, gęsto urozmaicany szlachetnym i ze szczerego serca płynącym liryzmem. Do tego rodzaju scen należy prześliczny opis nocy księżycowej w Zakopanem.

W powieści, obok głównej bohaterki — jest kilka przepysznie narysowanych typów, rzuconych na papier coprawda karykaturalnie. Lecz jest to ten właściwy Makuszyńskiemu typ karykatury, który nie wyszydza, nie ośmiesza, lecz chwyta za serce i czyni postacie powieści bliskimi i drogimi znajomymi. A więc młody prawnik Podkówka, groteskowa babka rezydentka, dwie świetnie naszkicowane stare panny — i wreszcie przepyszny, kopalniany wprost okaz dziwaka, prowincjonalnego lekarza doktora Lipienia.

„Panna z mokrą głową", ozdobiona kilkunastu ilustracjami i okładką Norblina, wydana starannie przez Gebethnera i Wolffa, stanie się ulubioną lekturą wszystkich panien i niepanien od lat 12 do 92, a więc mniejwięcej rówieśniczek babki Borowskiej, jednej z bohaterek ostatniej powieści Makuszyńskiego, pisarza, który w tak dziwny sposób umiał pomieszać wisielczy humor z melancholją.

Jan Sokolicz Wroczyński

O książkach dla dzieci i młodzieży

Jedyną okazją do pisania o literaturze dla dzieci i młodzieży jest Gwiazdka, przymus dawania podarków, który na krótko przed świętami zapełnia sklepy i księgarnie tłumem poszukiwaczy taniego i efektownego prezentu. Książka dla dorosłych rodzi się i rozchodzi w każdej porze roku: omawiana jest na szpaltach pism niezależnie od sezonu; książki dla dzieci wychodzą w grudniu, i tylko wtedy zdobywają sobie prawo do oceny w prasie.

Kultywując ten chwalebny zwyczaj dawania książkowych upominków, robiąc „raz do roku około... Bożego Narodzenia" wielki tumult z powodu książki dla najmłodszych, nie zapominajmy, że nie jest ona tylko przygodnym prezentem świątecznym, że zasięg jej działania ogarnia cały rok, że karmi wciąż nowe pokolenia dzieci, że jej zawartość i forma zewnętrzna kształtuje smak i podnosi poziom kulturalny rosnących czytelników. Już czas, by dobra książka dla dzieci i młodzieży, pisana z powagą idei i talentu, weszła zwycięsko do prawdziwej literatury!

KSIĄŻKI DLA DZIECI

Literatura dla najmłodszych wzbogaca się z każdym rokiem o szereg artystycznie wydanych książeczek. Polska produkcja wydawnicza daleko odbiegła dziś od wierszyków Chęcińskiego, kotków i piesków drukowanych kolorowo ze straszliwym malowankowym realizmem na błyszczącym papierze. Książki dzisiejsze mają ładny druk i nowoczesne obrazki, dźwięczny wiersz i zabawną formę. Jeżeli zestawimy je z tamtemi książkami dla przeszłych pokoleń dzieci (których przykładem może być wskrzeszona w tym roku przez firmę Gebethner i Wolff w pierwotnej swej postaci, tylko ze zmienioną okładką, książeczka C. Niewiadomskiej p. t. „Powiastki Króciutkie"), widzimy, jaki postęp zrobiła ona w przeciągu ostatnich lat. Poziom podniósł się, wszechpanująca ludowość, tak doskonale reprezentowana przez Porazińską, wtargnęła na obrazki i stronice w kusych kolorowych szatkach, stary morał został przebrany do niepoznaki w rymowane „Bajdy" Krzemienieckiej, Szelburg-Zarembina wskrze-

siła w nowej formie śliczny dziecięcy sentyment, fantazję bajkową starano się także zastosować do obecnych wymagań. Jedno tylko poważne zastrzeżenie nasuwa się na widok tych wszystkich barwnych i nowoczesnych książeczek dzisiejszych. Czy nie za dużo stylizacji? Czy nie za dużo wyszukanej fantazji, niezrozumiałych przyśpiewków, zbyt trudnych, gwarowych wyrażeń, kukiełek z przezwiskami, tak mało podobnych do prawdziwych dzieci? Dziecko współczesne spragnione jest autentyczności. Lubi rzeczy i sprawy bliskie życiu, obce mu są postacie tych dziecinnych książek tak przetworzone artystycznie, jak dzisiejsze modne zabawki z sukna i drzewa, śmieszne lalki o włosach z włóczki i oczach z paciorków: Dziecko teraźniejsze zbyt silnemi węzłami złączone jest z codziennością. Trzeba uważać, by nie zatęskniło do dawnej książki o zwyczajnych Tadziach i Zosiach taksamo, jak do dawnych lalek o buziach z porcelany, z prawdziwemi włosami!

*

K. Makuszyński. „120 Przygód Koziołka - Matołka". Jest to pierwsza książka polska dla dzieci w stylu klasycznej „Becassine" francuskiej i długich ilustrowanych zagranicznych bajd o zajączkach i pieskach. Brzydkie, ale niesłychanie śmieszne dla dzieci tasiemce obrazków i przygody bezsensowne i wymyślne, opowiedziane z humorem dźwięcznym i zniewalającym wierszem Makuszyńskiego.

Lucyna Krzemieniecka. „O leniuchach lekkoduchach. Cudowne okulary. Bajdy ciotki Adelajdy. Bajeczka z podwóreczka".

Krzemieniecka posiada swoisty sposób ujmowania bajki w rytmiczną rymowaną prozę, dużą łatwość obrazowania i stylu. Jej cztery nowe książki kręcą się tematem koło fantastycznych i umoralniających przygód, które poprawiają dzieci złe i nagradzają dobre. Każdy dawno znany temat został tu ujęty w nową wersję z niezwykłą potoczystością.

A. Bogusławski: „Mała Tereska". Proste wierszyki o małej dziewczynce, jej pieskach i kotkach, zdobione kulturalnie przez S. Bobińskiego.

Jadwiga Korczakowska: „Jędrusiowe bajki". Znowu ilustracje Bobińskiego, znowu bajeczki, tym razem prozą poprawnie stylizowane na ludowość i na fantastyczność, pomieszanie baśni ludowej z dziecinną naiwnością.

Zofja Rogoszówna. „Dzieci Pana Majstra". Nowe wydanie słynnej książki świetnej autorki dla dzieci, ilustrowanej przez Mackiewicza i cieszącej się w pierwszem wydaniu wielkiem powodzeniem wśród małych zwolenników wierszy.

Ewa Szelburg-Zarembina. „Moje Wierszyki". Książka ta należy do najudatniejszych wydawnictw dla dzieci obecnego sezonu, zarówno pod względem ilustracji W. Zawidskiej jak i wierszy, pełnych wdzięku i bezpośredniości.

Hanna Mortkowiczówna. „30 kolegów z całej Polski". 30 ilustracji autorki.

Autorka w prostych i zabawnych wierszykach opowiada dzieciom o chłopcach, mieszkających w różnych stronach kraju od Pomorza po Tatry, od Polesia do Śląska. Jest to dostępne i zajmujące krajoznawstwo i jednocześnie zabawa dla polskich dzieci od lat 7 do 10-ciu.

Nazwisko *Janiny Porazińskiej* jest już doskonałem zapewnieniem co do wartości książki. W tym roku obok małej książeczki wydanej przez *Naszą księgarnię*, ilustrowanej przez Z. Stryjeńską, wyszło jej opowiadanie z życia czwartego oddziału szkoły powszechnej p. t. „Wesoła Gromada" z barwnemi i żywemi ilustracjami M. Byliny.

Z. Urbanowska. „Gucio Zaczarowany". Nowe wydanie klasycznej książki o przyrodniczych doświadczeniach małego Gucia.

Helena Grotowska. „Jeniec z Północy". Dzieje rodziny niedźwiedziej, której losy splątały się z walkami członków ekspedycji polarnej, zabłąkanej wśród pól lodowych.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Pod pretekstem świątecznego zakupu powraca się do książek dla młodzieży z namiętnem upodobaniem. Do tych dawnego typu i do tych nowszych. Do tych, które są pełne fascynujących i niebezpiecznych przygód i do tych, które przenoszą na papier beztroskie przygody szkolne i ciepłą, domową atmosferę dzieciństwa. W epoce niedawnej panował w literaturze dla młodzieży ten pogodny ton małych kobietek Alcott, opowiadań Gjems Selmer z dalekiej północy, odziedziczony przez Bobińską (O szczęśliwym chłopcu) przez pierwsze powieści Żurakowskiej.

Teraz wzmagające się trudności życia przywróciły panowanie książki o dziecku walczącem, pozbawionem opieki i zdobywającem bohatersko swe prawa do istnienia. Jest rzeczą zastanawiającą, że obok kilku powieści wartością swą należących do literatury dla dorosłych i mówiących o konfliktach wewnętrznych (Korczak, Dąbrowska, „Roman i Dziewiętnastu" Żurakowskiej) fabuła powieści dla młodzieży obraca się koło dwóch strasznie niedziecinnych spraw: śmierci i pieniądza. Rodzice umierają, dzieci pozostają w nędzy, muszą walczyć, pracować, ratować, cierpieć. Tak jest w powieściach Verné, w „Księżniczce" Urbanowskiej, w „Pustyni i puszczy", w „Gwieździe przewodniej", w małej „Księżniczce Burnett". Tak jest w nowej powieści Makuszyńskiego, w „Ani z Lechickich pól".

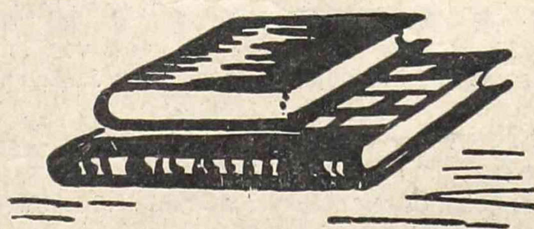
Ale mimo to z jakąż pasją czytamy te smutne książki, aż do ostatniej strony. Bo tylko w książkach dla młodzieży cnota tryumfuje, rodzice lub opiekunowie odnajdują się, stracony majątek powraca. Czytajmy książki dla młodzieży. Kończą się wszystkie szczęśliwie!

*

W. Gąsiorowski. „Dobosz Woltyżerów". II wydanie. Wznowienie tego wydawnictwa będzie napewno wielką radością dla chłopców. Styl tej książki ma w sobie wartki rytm werbla. Przygody wojenne Jacka kończą się, ku radości czytelnika, oszałamiająco pomyślnie.

H. Zakrzewska. „Pojednanie". Dzieje walki górala z niedźwiedziem, przypieczętowane wielokrotnie krwią, na tle groźnej przyrody tatrzańskiej i góralskiego obyczaju, oto treść tej doskonale napisanej książki o świecie gór i malutkiem gorącem sercu dziewczynki. Kilkuletnia Hanusia godzi wreszcie dwóch zdziczałych wrogów: zwierzę i człowieka naiwnym i promiennym uśmiechem.

Lewis Caroll. „Ala w krainie czarów". Klasyczna powieść fantastyczna angielska o przygodach Ali w świecie baśni została wydana po raz drugi w tłomaczeniu A. Langego.



M. Zaleska. „Wyprawa po skarby". To nowe wydanie staromodnej książeczki z dawnemi drzeworytowemi rycinami, która pod pretekstem przygód podróżniczych zapoznaje czytelników z australijską przyrodą.

Adam, Barbara i Jacek Kadenowie. „Pipi Sikorka. Pamiętniki". (Nakładem koła przyjaciół literatury w Rabie). Dzieje ptaszka hodowanego przez dzieci podczas wakacji w Ojcowie i wskrzeszonego cudem przez Matkę Boską Częstochowską, pełne satyrycznych aluzji i pseudohumorystycznych fragmentów obyczajowych.

CO CZYTAĆ?

„WSPOMNIENIA Z LAT OSTATNICH"

Prof. dr. Juljan Talko - Hryncewicz, zasłużony antropolog, spisał wspomnienia bogatego swego życia. Pamiętniki te wywołały szerokie zainteresowanie. Badacz nasz, nim otrzymał katedrę na wszechnicy jagiellońskiej, przez wiele lat pracował jako lekarz na pograniczu rosyjsko-chińskiem. Przeżył duży zasięg wydarzeń historycznych! Obecnie liczy zgórą lat 82, jest więc jakgdyby żyjącą kroniką faktów, które dla pokolenia powojennego należą już do ksiąg i foljałów.

Pamiętnik prof. J. Talko-Hryncewicza wywołał przytem swoistą sensację. Niemal poraz pierwszy dowiedzieliśmy się, iż dla wielu polaków Syberja była ziemią obiecaną. Znaleźli tu pracę i dobre przyjęcie. Wraz z rodakami, których deportowano, przyczynili się wydatnie do podniesienia kultury tego kraju.

Obecnie ukazał się tom drugi wspomnień prof. Juljana Talko-Hryncewicza. Książka zawiera przeżycia autora od r. 1908 — 1932. I znów jakby w zmowie z losem wybitny nasz uczony znalazł się w chwile historycznie ciekawe nie wśród uniwersyteckiego środowiska, lecz w Petersburgu. Ima się pracy zarobkowej w szpitalu dla burjatów. Barwnie opisuje rozkład moralny społeczeństwa rosyjskiego podczas wojny. Nastroje kolonji polskiej notuje też skrzętnie i wnikliwie. Daje sylwety różnych działaczy tych czasów. Kreśli obrazy z wydarzeń rewolucyjnych w Petersburgu. Prof. Talko-Hryncewicz czyni taką uwagę, godną zapamiętania:

„Do upadku Rosji przyczyniły się w pewnym stopniu i warstwy kulturalne, domagające się dla narodu, pogrążonego w ciemnocie i barbarzyństwie, pełnej suwerenności".

Pamiętnikarz znał społeczeństwo rosyjskie dobrze. Większą część swego życia spędził wśród rosjan. O ciemnocie i barbarzyństwie chłopa daje pojęcie i przebieg wydarzeń późniejszych, gdy bolszewicy chwycili władzę w ręce. Prof. Talko-Hryncewicz mieszkał i w Kijowie jakiś czas, zanotował więc, jak układało się życie pod rządami niemców, petlurowców, bolszewików.

Stronice, poświęcone rewolucji rosyjskiej, należą do ciekawszych w tych wspomnieniach zasłużonego profesora. Ludzi kulturalnych zainteresują również i wspomnienia z prac, studjów, zabiegów naukowych nad zorganizowaniem muzeum antropologiczno-archeologicznego, nad zbadaniem Białorusinów, Kaszubów, Górali, Krakowian pod względem kraniologicznym. „Wspomnienia z lat ostatnich" wraz z książką „Z przeżytych dni" wnoszą wiele cennych obserwacji i faktów do rozważań naszych o życiu polskiem ze schyłku 19-ego i początku 20-ego wieku.

E. C.

ŚWIAT TEATRU

Zgon Eugenjusza Brieux

Niejeden z czytelników ze zdumieniem przetrze oczy. Jakto, więc twórca „Czerwonej togi" żył jeszcze wczoraj?

Tak jest: Eugenjusz Brieux, znakomity pisarz dramatyczny francuski, urodzony w r. 1858-ym — przeżył dzieło swojego życia. Przeżył je o dobrych lat dwadzieścia. Mówmy ściślej: o cały okres powojenny i wojenny. Wprawdzie ostatnia — chronologicznie biorąc — sztuka tego popularnego przed laty autora dramatycznego grana była zaledwie przed kilku laty, ale nie zdobyła już ani sukcesu u publiczności, ani nawet uznania u krytyki. Taki sam los spotkał i inną sztukę nieco wcześniejszą („La Française"), a nie lepiej również powiodło się i „Kobiecie samotnej", wystawionej w Paryżu jeszcze przed wybuchem Wielkiej Wojny. Żadna z tych ostatnich sztuk Brieux nie przekroczyła już granic Francji. Natomiast wszystkie wcześniejsze jego utwory (nawet te najmłodsze) grywane były na scenach całego świata kulturalnego. Bez przesady można powiedzieć, iż począwszy od lat ostatnich minionego stulecia do końca pierwszej dekady bieżącego wieku, a więc przez dobrych lat piętnaście był Eugenjusz Brieux najwięcej grywanym, najpoważniejszym dramatykiem świata. Należy powiedzieć więcej: od Brieux wywodzi się t. z. dramat socjalny, który przez parę dziesiątków lat królował potem w repertuarach scen europejskich i przedostał się za Ocean. Na naszych scenach dzieła Brieux zagościły niemal zaraz po zdobyciu przez niego scen paryskich, a więc po „Stadłach artystycznych" i „Blanchette". — „Ucieczka", „Macierzyństwo", „Kołyska", „Zastępcy", „Dobroczyńcy", „Zuza", „Simona", „Przyjaciółka", „Chrabąszcze" — oto tytuły ważniejszych utworów zmarłego pisarza.

Ale prawdziwą sławę i popularność przyniósł mu słynny „dramat omyłki sądowej" — „Czerwona toga", grany u nas po raz pierwszy około r. 1902-go najpierw na scenie dyletanckiej t. zw. „Miłośników Sceny" pod kierunkiem Władysława Rabskiego i reżyserją Józefa Śliwickiego, a dopiero później wystawiony na scenie Teatru Rozmaitości z niezapomnianym Kazimierzem Kamińskim w popisowej roli prokuratora. Jeżeli ta „Robe rouge" była podstawą olbrzymiej sławy i znaczenia moralnego francuskiego pisarza, to sztuką, która przyniosła mu cbok rozgłosu i zaszczytu ogromną fortunę, byli — „Les avariés" (Rozbitki). Ta sztuka, oparta na drastycznym temacie dziedziczenia chorób wenerycznych, należała do rzędu sztuk — na swój czas! — „skandalicznych" i w wielu krajach nie pozwalano jej wystawiać. (U nas grano ją w r. 1911-ym w teatrze Małym u Kaz. Zalewskiego na t. z. „Wolnej Scenie", prowadzonej przez Bolesława Gorczyńskiego). W Ameryce uczyniono sztukę propagandową i grano ją w tak wielu teatrach zawodowych, amatorskich, stowarzyszeniowych i t. d., że z tantjem otrzymanych z za Oceanu mógł autor „Czerwonej togi" zabezpieczyć swoją liczną rodzinę, siebie, oraz zakupić na własność posiadłość z piękną rezydencją w środkowej Francji oraz willę na Riwjerze.

Po wygaśnięciu zawieruchy wojennej próbowano tu i owdzie wznowić owo najkapitalniejsze dzieło Brieux — „Czerwoną togę" — ale burzycielskie na swój czas moralizatorstwo społeczne znakomitego dramatysty okazało się w zetknięciu z wymową życia dzisiejszego — nie więcej jak dobrotliwem, naiwnem kaznodziejstwem... Nie odpowiadała również wymogom dzisiejszego tempa życiowego zbyt rozwlekła i drobiazgowa technika dramatyczna utworu... Nie mogąc już trafić do dzisiejszego widza własnym utworem — ufundował sędziwy pisarz przed kilku laty własnym sumptem nagrodę coroczną za najlepsze dzieło dramatyczne, oparte na temacie społecznym. Ale nie znalazł utworu godnego nagrody w całej współczesnej twórczości francuskiej... Zamierzał podobno szukać w literaturze obcej i nagrodzić — „Przestępców" Brucknera...

Zmarł w Nizzy w zaciszu „lazurowego" odosobnienia, w 75-ym roku swego zasłużonego żywota.

Nowalja amerykańska w Teatrze Letnim

Wystawiona świeżo na scenie Teatru Letniego komedja amerykańska w 3-ch aktach Harry'ego Jenkins'a *„Kobieta i szmaragd"* napewno znajdzie bardzo licznych zwolenników tego modnego wciąż jeszcze i poczytnego rodzaju *à la Wallace.* Odrazu na wieczorze premjerowym zauważyć można było żywe poruszenie; w kuluarach podczas antraktów sprzeczano się namiętnie i robiono zakłady: kto sprawcą? Artyści, poprowadzeni wytrawną ręką dyrektora Chaberskiego, z talentem i zręcznością pomagali pomysłowemu autorowi w prowadzeniu widzów mylnemi tropami, aż do niespodziewanego... *happy end'u.* Trzeba przyznać amerykaninowi, że umiał swą pozornie tylko kryminalną historyjkę okrasić wcale ładnym sentymentem...

Uroczą tytułową Kobietą była Jadwiga Smosarska. Zabawnymi i intrygującymi naprzemian poszukiwaczami Szmaragda: Tadeusz Wesołowski, Jan Kurnakowicz, Władysław Walter, Zbyszko Sawan, Wincenty Rapacki, J. Ciecierski.

Rozciekawiona do czerwoności publiczność płci obojga biła ogniste brawo.

el.

Nieudały eksperyment z „Danielem" Wyspiańskiego

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Warszawie wystawił „Daniela" Wyspiańskiego — w strojach współczesnych!...

Ten eksperyment nowatorski nie udał się zupełnie; przedstawienie pozbawione było wszelkiej logiki inscenizacyjnej. Zrobiono, co tylko było możliwe, aby zatrzeć słowo poety i zaciemnić jego potężną wizję malarską...

Przedstawienie — zapowiedziane, jako uroczystość ku czci 25-tej rocznicy śmierci genjalnego twórcy, — stało się poprostu parodją...

Niektóre momenty, jak np. pląsy „Baltazar - girls" w czerwonych, przejrzystych sukienkach, — sprawiały wrażenie wręcz operetkowe i budziły śmiech, co chyba nie leżało w zamiarach eksperymentujących inscenizatorów...

Aż biła w oczy nieudolność reżyserska. Jeden z wybitnych pisarzy — tak określił ten spektakl:

— Widowisko — to nie jest, bo nic nie widać; słuchowisko także nie, bo niczego się nie słyszy i właściwie nie przedstawienie, bo nic nie przedstawia...

Na programie widnieje nazwisko p. Eugenjusza Poredy, młodego aktora „Ateneum", — jako odpowiedzialnego za to wszystko inscenizatora. Ale gdzież było doświadczone oko znakomitej artystki Ireny Solskiej, która jest przecież kierowniczką teatru?

J. Mig.

100-ne przedstawienie „Wesela" w Teatrze Narodowym

Ten niezwykły jubileusz teatralny odbędzie się w sobotę 17 grudnia; tego wieczora arcydzieło Wyspiańskiego odegrane będzie w Teatrze Narodowym po raz *setny od wystawienia.*

„Wesele" grywane było wprawdzie w Warszawie już od r. 1903, bądź we fragmentach (jak w Wielkiej Sali Filharmonji u Gawalewicza), bądź w całości, lecz z „cenzuralnemi" opuszczeniami, jak u Zelwerowicza i Rychłowskiego w Teatrze Zjednoczonym na Bielańskiej, — ale w całkowitym tekście wystawione zostało dopiero po wybuchu Wielkiej Wojny w dniu 6 marca 1915 roku za dyrekcji Małyszewa i kierownictwa literackiego Adama Grzymały-Siedleckiego, w reżyserji Juljusza Osterwy. Teatr Narodowy nosił wtedy jeszcze skromną nazwę Teatru „Rozmaitości". Grano wówczas „Wesele" zrzędu 59 razy, potem po wejściu niemców, z różnemi przerwami grano jeszcze 20 razy—łącznie do spalenia się Teatru Rozmaitości odegrano je *79 razy.* Obecnie po wystawieniu w inscenizacji Ludwika Solskiego „Wesele" idzie bez przerwy od dn. 28 listopada

KWIATY AZJI I EUROPY

PIĘKNA JAPONKA OCZAROWANA JEST EUROPEJSKIM ZWYCZAJEM OFIAROWYWANIA KOSZY KWIATÓW



JEJ EUROPEJSKA RÓWIEŚNICA MARZY O KRAJU KWITNĄCEJ WIŚNI

i w sobotę dnia 17 grudnia odegrane będzie na wieczornem przedstawieniu („Wesele" tego dnia ukaże się dwukrotnie: popołudniu i wieczorem) po raz 21-szy. Razem: 79 + 21 — czyni *sto przedstawień* arcydzieła Wyspiańskiego na pierwszej scenie polskiej.

Wieczór sobotni w Teatrze Narodowym będzie wielkiem świętem poezji polskiej.

Przed wyznaczeniem nagród za kreacje w sztukach Wyspiańskiego

(m) Komisja wyznaczona z ramienia wydziału Kultury i Sztuki Min. W. R. i O. P. dla przyznania nagród za najlepsze kreacje: aktorską, reżyserską i dekoracyjną w sztukach Stanisława Wyspiańskiego — skończyła swój objazd. W skład jej wchodzili: p. Stanisław Stanisławski, znany artysta dramatyczny, oraz wybitni teatrolodzy Juljan Wołoszynowski i Roman Zrębowicz. Byli oni obecni na kilkudziesięciu spektaklach utworów Wyspiańskiego w całym kraju.

W Katowicach widzieli „Noc Listopadową" w reżyserji Jana Kochanowicza i oprawie dekoracyjnej Stanisława Węgrzyna. Rolę księcia Konstantego grał Arnoldt.

W Krakowie członkowie komisji byli na przedstawieniach „Weimaru", „Wesela", „Wyzwolenia", „Ślubów Jana Kazimierza". Reżyserował Juljusz Osterwa, który zarazem grał Konrada w „Wyzwoleniu". Dekoracje Różańskiego.

W Poznaniu — w Teatrze Polskim „Akropolis" w reżyserji Teofila Trzcińskiego i w Teatrze Nowym „Zygmunt August" w reżyserji K. Tatarkiewicza — z Haliną Cieszkowską i Czajkowskim w głównych rolach.

W Łodzi: „Wesele" z nowatorskiemi eksperymentami reżyserskiemi Jerzego Szyndlera.

We Lwowie: „Weimar", „Śmierć Ofelji", „Powrót Odysa" — w reżyserji Strachockiego i w dekoracjach Andrzeja Pronaszki.

Częstochowa — „Sędziowie". Reżyserja i inscenizacja Iwona Galla.

Bydgoszcz „Wesele". Toruń „Sędziowie" i fragment z „Wesela". Lublin „Sędziowie" w reżyserji Dziewulskiego.

Wilno zademonstrowało komisji „Zygmunta Augusta" w reżyserji Szpakiewicza.

Łuck — dał „Sędziów" w reżyserji Aleksandra Rodziewicza.

W Warszawie komisja obecną była na „Weselu" w Teatrze Narodowym, na „Sędziach" w „Ateneum" i na „Danielu" w Teatrze im. Stefana Żeromskiego. Materjał zebrany przez komisję jest wielce interesujący i różnorodny.

Przewidziane jest oprócz zasadniczych nagród — przyznanie kilku wyróżnień.

Z FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ



Colette Frantz, utelentowana skrzypaczka paryska, wyróżniająca się wybitnym temperamentem wirtuozowskim, wystąpiła w Filharmonji Warszawskiej na Poranku Symfonicznym w dn. 11 grudnia r. b.



Fritz Mahler, ceniony dyrygent, wystąpił w Filharmonji Warszawskiej na Poranku Symfonicznym w dn. 11 grudnia b. r. Fritz Mahler jest bratankiem znakomitego kompozytora, Gustawa Mahlera

KRONIKA MUZYCZNA

* „Kwartet Polski" p. Ireny Dubiskiej (pp. Szaleski, Adamska i Fliderbaum) wystąpił po raz trzeci w Warszawskim Instytucie dla Ociemniałych. Następny koncert komeralny w tejże sali — 15-ego grudnia.

* Międzynarodowe konkursy muzyczne przyjmują się i rozwijają coraz bardziej. Wiosna przyniesie nam wielki konkurs w Wiedniu (7—13 czerwca) i w Budapeszcie. Pierwszy — dla pianistów i śpiewaków, drugi — im. Fr. Liszta — dla pianistów.

* Opera paryska wystawi niebawem nowy balet rosyjskiego kompozytora, Igora Markowicza, p. t. „Lot Ikara", w interpretacji uczniów Djagilewa.

* Nagroda muzyczna im. Lasserre'a została przyznana w tym roku kompozytorowi francuskiemu. Pierre de Breville, autorowi szeregu utworów symfonicznych i kameralnych oraz opery „Eros zwycięzca", wystawionej w tym roku w paryskiej Operze Komicznej.

* W Kopenhadze wystawiona będzie opera E. Hammericha p. t. „Leonardo da Vinci".

* Znany kompozytor niemiecki, Wolfram Humperdinck, został dyrektorem Opery w Królewcu.

* W Paryżu powstało nowe stowarzyszenie muzyki współczesnej, pod nazwą „Triton". Zarząd stanowią kompozytorzy Octave Ferroud, Jacques Ibert, Darius Milhaud, J. Rivier, H. Tomasi, Harsanyi, Honegger, Mihalovici i S. Prokofiew.

* P. Greta Turnai, która z takiem powodzeniem występowała w Warszawskim Teatrze Nowości, święci obecnie tryumfy na scenie słynnego wiedeńskiego Theater an der Wien, jako księżniczka Laja w operetce „Kwiat Hawai". Prasa, z „Neues Wiener Journal" i „Neues Wiener Tageblatt" na czele poświęca p. Turnai oceny pełne zachwytu.

Książka pamiątkowa o Wyspiańskim

Z okazji uroczystości 25-lecia śmierci Wyspiańskiego, Teatr Krakowski wydał pamiątkowy zeszyt, poświęcony genjalnemu poecie. Na obfitą treść składają się wiersze Wyspiańskiego, okolicznościowy poemat Morstina, artykuły Zawistowskiego, Płoszewskiego. Nowaka, Estreichera, Chmiela, Sinki i wspomnienia artystów krakowskich: Sosnowskiego, Solskiej, Ordon-Sosnowskiej, Siemaszkowej i innych. Do najciekawszych należą materjały, dotyczące starań Wyspiańskiego o dzierżawę teatru krakowskiego, oraz jego plany organizacyjno-inscenizacyjne. Pamiątkowe wydawnictwo zdobi kilkadziesiąt ilustracji, reprodukcji, korespondencji i afiszów.

Śladem „Momusa"

Dawny dyrektor „Qui Pro Quo", p. Seweryn Majde, założył w restauracji Hotelu Angielskiego kabaret artystyczny pod nazwą „Femina"...

Produkcje odbywają się podobnie, jak niegdyś w „Momusie", — wśród stolików. Występują aktorzy Zaspowi, co jest wymownem signum temporis... Jeszcze bowiem dwa lata temu zarząd Zaspu stosował surowe sankcje w stosunku do tych aktorów, którzy zmuszeni warunkami finansowemi decydowali się występować przy stolikach...

Obecnie walny zjazd Zaspu zniósł ten zakaz i w kabarecie restauracyjnym biorą udział aktorzy związkowi, głównie z „Teatru Artystów" przy ul. Karowej. Zarówno teksty utworów, jak i wykonanie są na dość wysokim poziomie.

J. M.

SPORT

Obłuda amatorstwa

Sport ma także swój problem, który dziś już doszedł do stanu „palącego" — utrzymanie czy zniesienie amatorstwa. Problem ten powstał, jak się to często dzieje, gdy suchy przepis stanął w obliczu nowych, zmienionych warunków społecznych i gdy życie zaczęło go łamać.

Amatorstwo nie jest dziś zjawiskiem rzeczywistem, — jest tylko przepisem, nieżyciową regułą, o którą się kruszy kopje, jakgdyby ktoś miał w tem interes, by podsycać ciągły konflikt. Normalnem przytem jest zjawisko, że najczęściej w obronie amatorstwa walczą zażarcie ci, którzy je najwięcej łamią.

Ideał ten — t. zn. bezinteresowność w sporcie, tak piękny społecznie, powstał na gruncie zupełnie innym i został stworzony przez tych, którzy właśnie mieli w tem interes. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Anglicy nie myśleli o ideale społecznym, gdy 50 lat temu regułę amatorską stworzyli. Chodziło im całkiem poprostu o utrzymanie kastowości i uprawianie sportu w wybranem gronie, — a nie z byle kim.

Nie trzeba zapominać, że w tych dawnych czasach bawili się sportem ludzie należący do sfer arystokratycznych, — ludzie bardzo zamożni, których całą troską było robić to „w sferach towarzyskich", nie żyjących z pracy — w gronie wybrańców.

Tak pojęty ideał sportu, żywcem przeszczepiony ze specyficznego środowiska angielskiego na teren inny, przy dzisiejszem zdemokratyzowaniu sportu—jest zupełnie *absurdalny*. Zaślepienie, z jakiem niektórzy staczają boje w imieniu amatorstwa, równe jest nonsensowi usiłowania podporządkowania dzisiejszego naszego życia jakimś feodalnym, kastowym regułom.

W imię tej przedpotopowej dewizy, brodzimy w sporcie po szyję *w hipokryzji i kłamstwie*. Tego, że czystość amatorstwa stoi w prostym stosunku do grubości portfelu — oficjalnie i głośno się nie mówi. Hipokryzja tak weszła już w zwyczaje sportowe, że mówi się o tem, ale na... uszko.

Ten „wiatrak amatorski" jest pędzony, w pierwszym rzędzie, wspólnemi siłami różnych prezesów, kierowników i organizatorów — a to we własnym bezinteresownym interesie: honory, zaszczyty, uznanie i t. p. dekoracje i piękne a dalekie podróże, które kształcą. Wszystkie te honory i ceremonjały odpadłyby, gdyby przedsiębiorstwo było zawodem. Prokurent fabryki mydła nie ma żadnego powodu spodziewać się, że dostanie poza pensją jeszcze „Polonię Restitutę".

A jednak uczciwemu zawodowi niczego nie można zarzucić, — natomiast zakłamanie w sporcie budzi tylko niesmak i niechęć. Ideałem sportu nie jest pusty frazes — amatorstwo... — Ideałem sportu jest zbliżenie ludzi bez względu na stan i pozycję społeczną; — niwelacja różnic socjalnych—jednem słowem, rozwój przyjaznego współżycia.

Tę regułę stwórzmy i surowo jej przestrzegajmy!...

B. A. B.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że tylko przednie wyroby są naśladowane. Dzieje się to stale ze znakomitemi wyrobami Zjednoczonych Browarów Haberbusch i Schiele. Walczy z tą plagą stale zarząd browarów, ale bez udziału odbiorców klęski tej niesposób wyplenić. Należy zwracać baczną uwagę na etykiety i kapsle by uniknąć falsyfikatów.

Upominek gwiazdkowy

Niema kryzysu! Święta nadchodzą! Chcemy zapomnieć o kryzysie. Chcemy radości, uciechy i zadowolenia. Chcemy każdego obdarzyć jakimś odpowiednim upominkiem — pana, panią i dzieci.

Jak temu zapobiec?

Czyż mało mamy miłych i niezbyt drogich upominków z pośród galanterji skórzanej? Są przecież torebki i woreczki damskie przybory do manicure, portfele, teczki i wiele, wiele innych drobiazgów.

Spieszcie więc po zakupy do znanej, słynnej ze swych wyrobów egzystującej od 1881 r. f-my B-ci Neumann, mieszczącej się w Warszawie przy ul. Bielańskiej 8, róg Daniłowiczowskiej, a spadnie wam kłopot z głowy.

Znajdziecie tam w dobrych gatunkach, po niskich cenach wiele praktycznych upominków, o czem niejednokrotnie sami mieliśmy możność przekonać się.

Humor teatralny

W ogonku przed kasą „Narodowego".

— Ktoby się był spodziewał, że ludzie tak tłumnie będą biegali na „Wesele"?

— Cóż chcesz, mój drogi, w tych kryzysowych czasach każdy chce się *rozweselić*...

*

Na przedstawieniach sztuki, cieszącej się wielką frekwencją, co wieczór w jednem i tem samem miejscu wybuchają żywiołowe, długotrwałe oklaski.

Ale pewnego wieczora — cisza.

— Ma się rozumieć — odzywa się jeden z aktorów — teatr jest wyprzedany i dyrekcja nie miała gdzie posadzić rodziny.

Z PIERWSZEJ WYSTAWY MUZYCZNEJ W WARSZAWIE



Dyr. Aleksander Granke, członek Zarządu Zrzeszenia Przemysłu i Handlu Muzycznego w Polsce, dyrektor Pierwszej Wystawy Muzycznej w Warszawie, organizacja której budziła wśród zwiedzających szczery zachwyt

Zaraz przy wejściu na wystawę zwracało uwagę piękne stoisko, jedyne w swoim rodzaju, zajmujące cały pokój — stoisko Zakładów Radjotechnicznych — Pierwsza Krajowa Wytwór. Aparatów Radjowych — „Wszech - Radjo" (Warszawa, Jerozolimska 14). Zakłady „Wszech-Radjo" istnieją od roku 1925. Aparaty wystawione przez firmę „Wszech-Radjo" są nowoczesnymi odbiornikami, stanowiącymi ostatni wyraz techniki w tej dziedzinie. Na specjalne podkreślenie zasługuje instalacja dźwiękowa dla dużych sal i kin, odtwarzająca niebywale wiernie muzykę i mowę, zastępująca żywą orkiestrę. B. ciekawym i jedynym odbiornikiem na wystawie był odbiornik siedmiolampowy, zasilany całkowicie prądem, z wbudowanym elektrycznym mechanizmem gramofonowym i adapterem oraz wbudowanym głośnikiem dynamicznym; aparat ten jest całkowicie oświetlony a mechanizm gramofonowy zaopatrzony w lampy sygnalizacyjne. Niebywale wiernie odtwarzane przez ten aparat audycje oraz odbiór wszystkich stacji europejskich stale ściągały tłumy zwiedzających. Również b. ciekawymi aparatami były dwa typy odbiorników walizkowych (jeden z wbudowanym głośnikiem) — odbierających bez anteny i uziemienia szereg stacji europejskich. W końcu należy nadmienić, że Zakłady „Wszech-Radjo" reprezentowały 40 typów odbiorników elektrycznych i głośników od najmniejszych t. j. 2 u lampowych. Ceny b. nizkie.

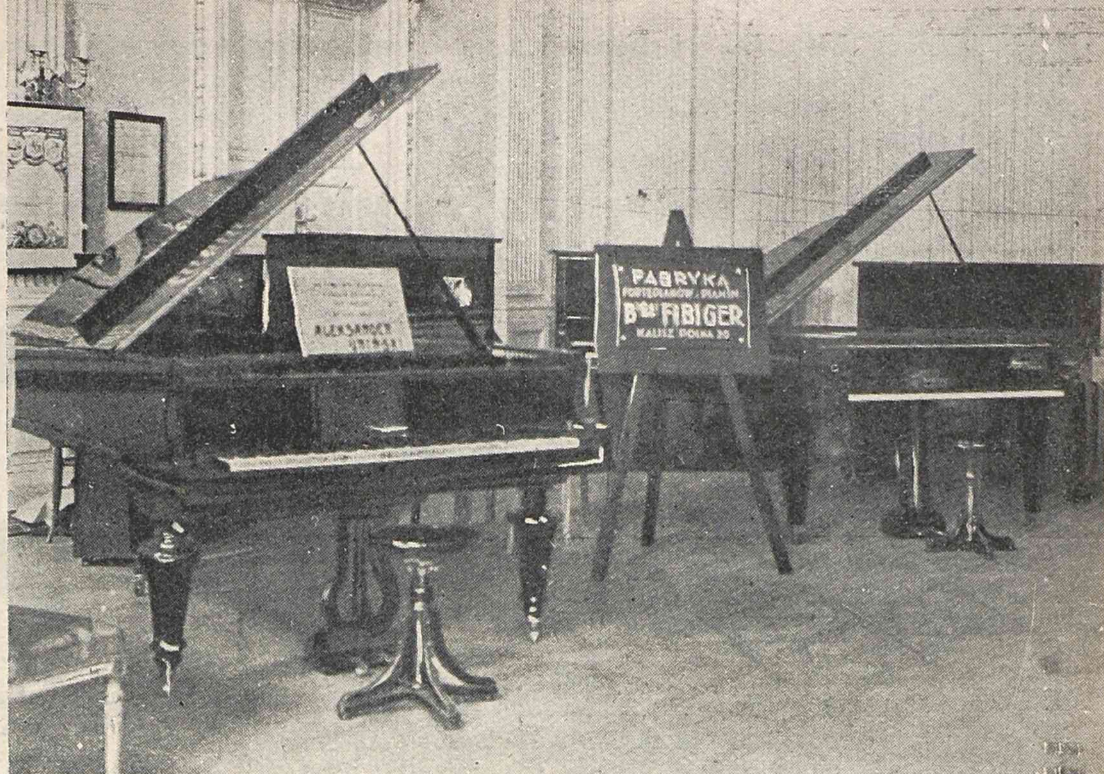


Fot. S. Reutt



Fabryka Szyldów Metalowych „H. Rausch—Toruń" (wyłączna reprezentacja: „S. Nawrocki" —Warszawa, Piękna 11-a, tel. 9-05-69), zaprezentowała na wystawie specjalne wyroby trawione, z których b. wiele (jak naprz. skale radjowe, okienka skalowe, szyldziki firmowe i t. p.) ma duże zastosowanie przy fabrykacji instrumentów. Należy tu wszakże zaznaczyć, że przemysł muzyczny, jakkolwiek jest b. poważnym, to jednakże nie jedynym odbiorcą wyrobów fabryki H. Rausch'a, bowiem klijentela firmy rekrutuje się ze wszystkich gałęzi naszego przemysłu i handlu; wyroby firmy mają obszerne zastosowanie we wszelkich dziedzinach fabrykacji i we wszelkich odmianach reklamy firmowej (tablice bankowe, tabliczki orjentacyjne, napisy i szyldy techniczne, znaczki klubowe, znaczki do szatni, podstawki, popielniczki, szkatułki do papierosów i t. p.). Są to rzeczy b. piękne, stojące

Z prawej strony Głównej Sali ulokowało się stoisko znanej od lat kilkudziesięciu kaliskiej fabryki fortepianów i pianin B-ci K. i A. Fibiger (Kalisz, ul. Polna № 20). Fabryka B-ci K. i A. Fibiger jest jedną z tych nielicznych fabryk, która od swego założenia aż do chwili obecnej prowadzona jest bez przerwy przez założycieli-fachowców, dzięki czemu instrumenty wystawione przez firmę zdobyły sobie ogólne uznanie ze względu na wybitne zalety jako to: piękny, głęboki ton oraz solidną i trwałą budowę. Wśród eksponatów fir. B-ci K. i A. Fibiger, powszechną uwagę zwiedzających zwracało najmniejsze na świecie pianino. Ze względu na swoją taniość (Zł. 950.—) pozwala ono prawie każdemu miłośnikowi muzyki nabyć gwarantowanej dobroci instrument. Uznanie dla wyrobów firmy B-ci K. i A. Fibiger dawało się odczuć wyraźnie na P. W. M. w Warszawie, — tłumy zwiedzających z dużym zainteresowaniem przysłuchiwały się stale koncertom odbywającym się na stoisku firmy.





Jednym z najoryginalniejszych stoisk na P. W. M. w Warszawie, było stoisko firmy „Centra" W. Tomaszewski i S-ka w Poznaniu. Znana ta i zasłużona firma, która zyskała sobie ogromną popularność w całym kraju produkcją wszelkiego rodzaju baterji elektrycznych, przystąpiła w r. 1931 jako pierwsza i obecnie jedyna do produkowania igieł gramofonowych, tworząc nową gałąź wytwórczości krajowej. Igły „Centra" dzięki wysoko postawionej technice produkcji i najlepszym surowcom, pod każdym względem są doskonałe. Precyzyjne maszyny, ogromne szlifiernie, piece hutnicze, hale do polerowania, szlifowanie i niklowanie stanowią cały cykl procesów przez które każda igła gramofonowa przechodzi. Po tak skomplikowanych czynnościach dostajemy igły, które nietylko nie są gorsze od zagranicznych, ale znacznie je przewyższają. Dotychczas corocznie wywoziliśmy duże sumy za igły gramofonowe sprowadzane z Niemiec i Anglji. Obecnie mamy własne igły polskiej produkcji, które, miejmy nadzieję, już wkrótce wyprą całkowicie z rynku fabrykaty zagraniczne.

Wielkim zainteresowaniem, zwłaszcza ze strony fachowców, cieszyły się głośniki firmy „Radjodynamika" (Warszawa, Rembertów) ze względu na wyjątkową naturalność i plastyczność w odtwarzaniu zarówno muzyki jak i głosu ludzkiego w stopniu niespotykanym dotychczas u żadnych innych głośników. Publiczność, słuchająca na wystawie koncertów nadawanych przez te głośniki, była tak zachwycona ich działaniem, że wiele osób bezpośrednio na stoisku nabywało głośniki fir. „Radjodynamika". Wśród nabywców było kilku cudzoziemców, którzy wprost nie chcieli uwierzyć, że te wspaniałe głośniki zostały całkowicie zaprojektowane i zbudowane w Polsce. Powszechna opinja (nawet konkurencji) uznała te aparty za rewelacyjne. Tajemnica konstrukcji ich polega na rozwiązaniu przez wynalazcę, inż. Henryka Brzeskiego, arcytrudnych do realizacji postulatów — oddawna studjowanych przez inżynierów całego świata — t. j. na odtworzenie absolutnej wierności dźwięków. Głośniki te oddają całą skalę tonów nietylko w dynamicznej wartości ich napięcia, ale przedewszystkiem w naturalnej ich barwie. Do tego należy dodać niezwykłą skuteczność głośnika; — gdy bowiem energja niezbędna dla uruchomienia przeciętnego głośnika wynosi 10 wattów, to dla głośnika fir. „Radjodynamika" wystarczy energja 1 wata. Wynalazek ten został zgłoszony do patentów we wszystkich kulturalnych krajach. Głośniki te są już produkowane seryjnie przez firmę „Radjodynamika" w Rembertowie, pod kierunkiem wynalazcy inż. H. Brzeskiego.



Fabryka Organów

Wacław Biernack

nagrodzona na P. W. M. w War. szawie Wielką Złotą Nagrodc



Przemysł organowy reprezentow był na P. W. M. przez najsta w Polsce fabrykę organów „Wac Biernacki" (Warszawa, ul. Dobra Wilno, ul. Oranżeryjna 3). — Jes jedyna w Polsce firma organowa, k dzięki wyjątkowej solidności sw wyrobów potrafiła sobie zdobyć nc rynki zagraniczne, — w kraju zaś konywa prawie wszystkie najpo niejsze zamówienia dla instytucji p stwowych, jak również dla szkół i k serwatorjów.

Fot. S. Reutt

Zakończenie report z Pierwszej Wystawy I zycznej w Warszaw ukaże się w następ numerze „Świata".

Wystawa została z knięta dnia 11 grud o godz 10-ej wieczor

REFORMATOR PISOWNI POLSKIEJ

W sędziwym wieku, bo w 88-ym roku życia zmarł w Warszawie znakomity językoznawca, prof. Adam Antoni Kryński, zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku tramwajowego. Już to świadczy o niezwykłej żywotności tego uczonego, który do ostatnich dni wykładał na Uniwersytecie, pisywał artykuły i interesował się wszystkiemi zagadnieniami bieżącemi.

Ś. p. A. A. Kryński był wybitnym lingwistą, znawcą języka polskiego, o którego czystość i poprawność walczył przez całe życie. Ale właśnie dlatego wolał w szkołach rosyjskich przed 1905 rokiem uczyć raczej łaciny i francuskiego, gdyż nie mógł nagiąć się do tej parodji, jaką program rządowy czynił z wykładu języka polskiego. Zasłynął też nietyle jako pedagog, ile jako reformator pisowni polskiej.

Żadna walka partyjna nie była tak uporczywa i pasjonująca, jak tocząca się przed 30 laty batalja między ortografją



Ś. P. PROF. A. A. KRYŃSKI

ówczesną Akademji Umiejętności a nową pisownią Kryńskiego. Było kilka punktów spornych, a wśród nich pamiętna rywalizacja między Jotem i Ygrekiem w końcówce rzeczowników pochodzenia obcego (lekcja — lekcya, kolacja — kolacya, racja — racya) rozbijała ogół inteligencji polskiej na dwa obozy. Aż prof. Kryński sam jeden zwyciężył cały areopag Akademji i dzisiaj niemal wszystkie zasady jego pisowni uznane zostały przez Akademję Krakowską i noszą nawet jej nazwę.

Tryumfator na polu ortografji nie był tak szczęśliwym w swej nieustannej walce o czystość mowy polskiej. Próżno głosił w książkach i pismach „Jak nie należy mówić i pisać po polsku". Na miejsce wytkniętych, wyśmianych i usuniętych z łam dzienników i z mowy potocznej błędów—zjawiały się nowe, a po zjednoczeniu dzielnic polskich w jedno państwo nastąpił formalny najazd germanizmów i galicyzmów na najbardziej poprawny język Kongresówki; podbiły one nasze urzędy i instytucje prawodawcze, wkradły się do orzeczeń sądowych, nawet do sztuki i literatury pięknej. Po bohatersku walczył z niemi ś. p. A. A. Kryński, głównie na łamach „Kurjera Warszawskiego", ale syzyfowej pracy podołać nie mógł.

Stworzenie fundacji Jego imienia, dbającej o czystość mowy polskiej, byłoby najlepszem uczczeniem pamięci tego niezmordowanego jej Bojownika.

W. G.

OSSIP DYMOW

Interwencja pana Jaskółki

Pan Józef Jaskółka ma lat około trzydziestu. Posiada maleńkie, jasno-szare oczy, nalaną, nieco za szeroką twarz i kartoflowaty nos. Jest kawalerem, nie dlatego, żeby nie lubił kobiet, albo żeby się bał małżeństwa, tylko poprostu dlatego, że nie ma nigdy czasu na to, żeby sobie znaleźć żonę.

Czynności jego rozpoczynają się wczesnym rankiem. Mniejwięcej o wpół do ósmej ze słodkiego snu (bo wczoraj do późna w nocy przebywał ze swym przyjacielem Franciszkiem Kruszyną) budzi go dzwonek telefoniczny. Podbiega do aparatu i chwyta słuchawkę.

— Tu mówi Jan Guma. Chyba cię nie obudziłem. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć. Przez całą noc nie zmrużyłem oka.

— Janek, na miłość boską! Co się stało?

— Zerwałem z żoną.

— Nie! Niemożliwe! — woła pan Jaskółka tak głośno, że biedny Janek podwójnie w tej chwili odczuwa swe nieszczęście i czuje się jeszcze bardziej zrozpaczonym.

— Człowieku! — woła znowu Jaskółka. — Jak mogłeś coś podobnego zrobić? Gdzie jest teraz Gertruda?

— U swojej matki. Zabrała z sobą wszystkie rzeczy.

— Rzeczy także? Trzeba to jakoś załatwić. Za piętnaście minut jestem u ciebie.

Nieogolony, napół umyty, chwyciwszy do kieszeni kwaśne jabłko zamiast śniadania, biegnie pan Jaskółka do swego przyjaciela Gumy. Dlaczego właśnie są przyjaciółmi i dlaczego się „tykają", sami nie potrafiliby wytłumaczyć. Nie widują się całemi miesiącami, ale gdy tylko Guma ma jakieś zmartwienie, natychmiast telefonuje do Jaskółki.

— Trzeba to natychmiast uporządkować, — postanawia pan Jaskółka, przejęty ciosem przyjaciela. — Tak, ty jesteś winien. Takich rzeczy się nie robi. Masz uroczą żonę i nadskakujesz jej przyjaciółce. Musisz ją prosić o przebaczenie.

— Ależ ona mnie wcale słuchać nie chce. Próbowałem do niej telefonować, nie podeszła nawet do aparatu. Histeryczka!

— Zły charakter, — wzdycha pan Jaskółka. — Natychmiast do niej idę. Za godzinę będę z powrotem. Gdzie mieszka jej matka?

— Matka cię wcale nie wpuści,—zwraca uwagę przyjaciel.

— Stara wiedźma, — klnie pan Jaskółka z wściekłością.

— I jaka jeszcze! Powiadam ci, dwie wiedźmy... — wyrzeka zrozpaczony Janek.

— No, zobaczymy, — uśmiecha się Jaskółka optymistycznie.

Nie ociągając się, jedzie do owej wiedźmy, a broda rośnie mu coraz bardziej, bo

nie chce stracić kwadransa na fryzjera.

W domu „wiedźmy" panuje cisza. Po pełnej zdenerwowania nocy obydwie panie śpią spokojnie. Pan Jaskółka czeka cierpliwie w przedpokoju. Poprostu mdleje z głodu. W żołądku mu kruczy, broda rośnie, a on wciąż czeka. Wreszcie po dwóch godzinach ukazuje się Gertruda. Zaraz na wstępie zwraca się doń:

— Mój mąż to nicpoń, zwykły kobieciarz, Don Juan.

— Możliwe, — odpowiada pan Jaskółka, — ale on kocha panią z całego serca. Pani musi mu przebaczyć. Będzie dla pani teraz wierny, jak pies.

Gertruda zaczyna płakać. Na progu ukazuje się mama. Pan Jaskółka usiłuje ją przekonać.

— Niech mu pan powie, drogi panie Jaskółka, — mówi wreszcie młoda kobieta, — niech mu pan powie, że już raz mu przebaczyłam.

Zaczyna płakać znowu. Pan Jaskółka dostrzega w tych słowach wątły promień nadziei. Robi mu się lżej na sercu. Wsiada do auta i jedzie z powrotem do przyjaciela Gumy.

— Proszę jechać prędzej, — zwraca się do szofera. — Tu idzie o szczęście ludzkie.

Tymczasem Guma zdążył już zdrzemnąć się w swym fotelu. Pan Jaskółka nie budzi go, siada spokojnie na krześle i czeka, pragnąc, aby sen pokrzepił nieco nieszczęśliwego małżonka. Wreszcie przyjaciel budzi się i pan Jaskółka zaczyna opowiadać.

— Kochany, drogi przyjacielu, — mówi Guma. — Ja doskonale wiem, że ona już raz mi przebaczyła. Jestem jej ogromnie wdzięczny. Ale będę jeszcze bardziej wdzięczny, gdy po raz drugi to uczyni.

— Nie masz przypadkiem kawałka chleba z masłem, albo z serem? — pyta nieśmiało pan Jaskółka.

— Sam nie wiem. Kucharka wyszła. Jadłem śniadanie w restauracji.

— Mniejsza o to. Ja jadę...

I pan Jaskółka jedzie znowu do Gertrudy.

— Łaskawa pani, — wyjaśnia,—wczoraj w nocy do godziny drugiej siedziałem w restauracji z Franciszkiem Kruszyną. Żona od niego odeszła, bo dowiedziała się, że utrzymuje stosunki ze swoją sekretarką. Kruszyna, biedak, płacze, jak bóbr. Przysiągł, że stanie się nałogowym pijakiem. Chce pani, żeby i mąż pani zaczął pić nałogowo?

Gertruda opuściła głowę na piersi. Potem pan Jaskółka wrócił znowu do zrozpaczonego małżonka i po drodze omal nie uległ katastrofie samochodowej.

Tak jeździł tam i napowrót, aż wreszcie wieczorem sprawa przyjęła już taki obrót, że Janek uzyskał wreszcie telefoniczną rozmowę z Gertrudą. Wówczas pan Jaskółka zniknął z placu boju. Czuł, że przestał być potrzebny. Małżonkowie sami dojdą do porozumienia.

Istotnie do porozumienia doszli. W dwa dni potem pan Jaskółka mógł się o tem przekonać, bo z samego rana otrzymał dwa listy: jeden od pana Gumy, drugi od pani Guminy. Przyjaciel Janek zwracał się doń tym razem per „pan". List był dość długi, zaczynał się, jak następuje:

„Pozwolił pan sobie żonie mojej wypowiedzieć o mnie swą cenną opinję. Zasadniczo jest mi całkiem obojętne, co pan o mnie myśli, jednak takie epitety, jak „nicpoń", „kobieciarz" i „Don Juan" mógłby pan zostawić dla siebie. Również epitet „pies" stosowałby się raczej do pana. Bardzo mi przykro, lecz przyjaźń nasza i t. d.".

Drugi list pisany ręką Gertrudy brzmiał:

„Wielce Szanowny Panie! Miał pan zamiar, nie wiem zresztą z jakich powodów, przedstawić mnie w oczach mego męża jak najgorzej. Usiłował pan wmówić, że posiadam „zły charakter", że jestem „histeryczką". Posunął się pan stanowczo za daleko, bo pozwolił pan sobie nawet obrazić moją matkę, którą nazwał pan „wiedźmą". Dlatego też bardzo proszę, aby raz nazawsze zechciał wymazać ze swej pamięci adres naszego mieszkania".

W chwilę potem zadźwięczał telefon i pan Jaskółka usłyszał głos drugiego swego przyjaciela, Franciszka Kruszyny, który zwracał się doń również per „pan".

— Czy przy aparacie sam pan Jaskółka? Jak pan śmie mówić o mnie, jak o nałogowym pijaku? Jak pan śmie opowiadać ludziom o mojem złem pożyciu małżeńskiem z moją żoną? Jak pan śmie łączyć moje nazwisko z nazwiskiem pierwszej lepszej podfruwajki?

Pan Jaskółka chciał odpowiedzieć, ale w telefonie nastała chwila ciszy, poczem zaraz usłyszał głos pani Franciszkowej:

— Zdziwiłam się, gdy mi powiedziano, że uważa pan mego męża za pijaka i że ciąga go pan w nocy po rozmaitych knajpach. Możliwe, że knajpy są odpowiedniem miejscem dla pana, ale nie dla mego Frania.

Pan Jaskółka zrozumiał, że i tutaj doszli do porozumienia.

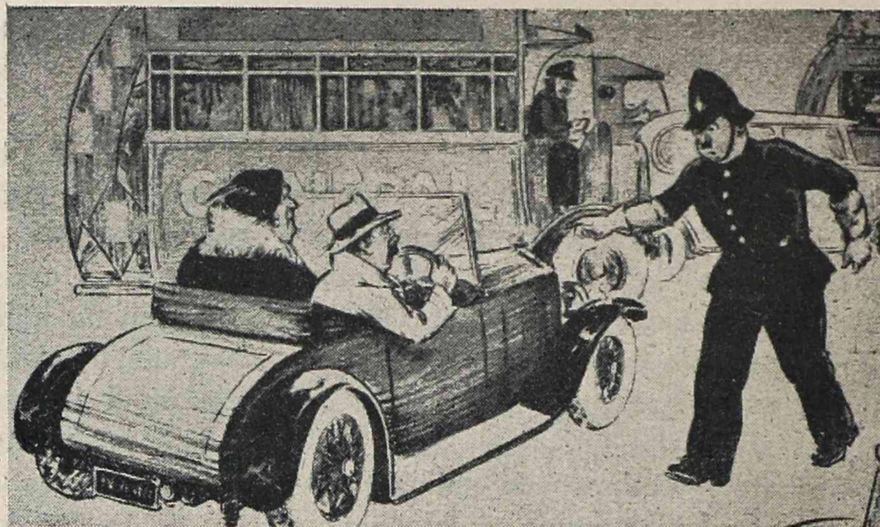
Przekł. Janiny Zawisza Krasuckiej.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. LEON WORONIECKI,

właściciel znanego zakładu zegarmistrzowskiego p. f. „F. Foroniecki". Jako człowiek prawy, gorący patrjota, wyróżniający się szlachetnością duszy, przyjmował żywy udział w sprawach naszej Ojczyzny. Zmarł dn. 2 grudnia r. b. w 58 roku życia.



Policjant: Gdzie!? Czy już pozwolono Panu ruszyć?
— Nnnaturalnie, żona mi pozwoliła...
(Passing Show, Londyn)

Z dziedziny kosmetyki

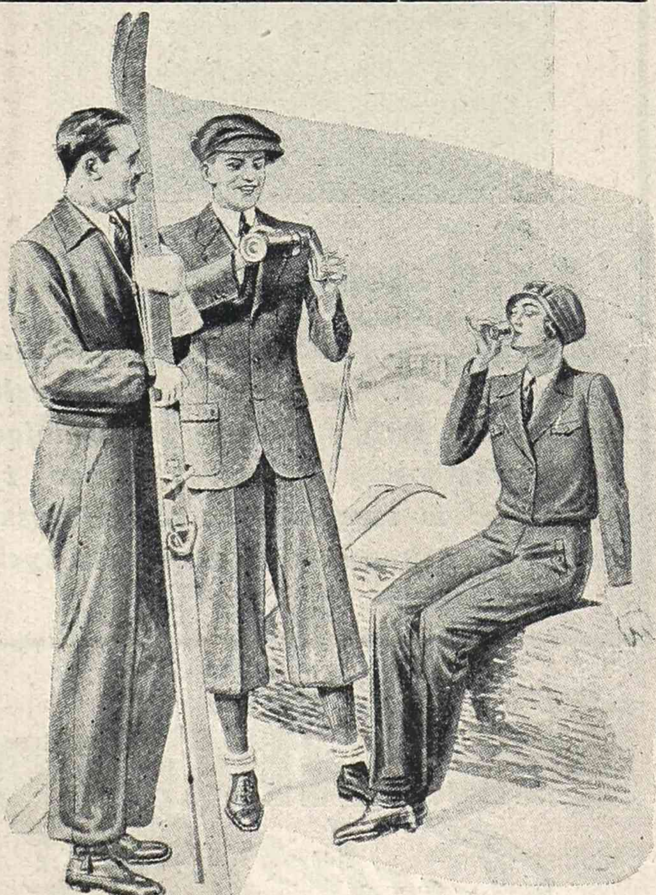
P. Janinie M.: W zimie nie radzę myć włosów w wodzie, gdyż łatwo zaziębić głowę, i wskutek tego cebulki włosowe osłabiają się i włosy wychodzą. Najlepiej myć głowę na sucho, *pudrem Florentin.* Nasypuje się troszkę *pudru Florentin* we włosy, wstrzepując go dobrze ręką, a następnie dobrze wyczesać szczotką i grzebieniem. Włosy będą czyste, suche i puszyste. Jest to pewny i małokłopotliwy sposób. Co się tyczy przyciemnienia brwi i rzęs, to lepszego i trwalszego środka nad *Hennolinę* nie ma. Ponieważ *Hennolina* wyrabia się i do włosów, więc przy kupnie, proszę zaznaczyć, że to ma być *Hennolina do brwi.*

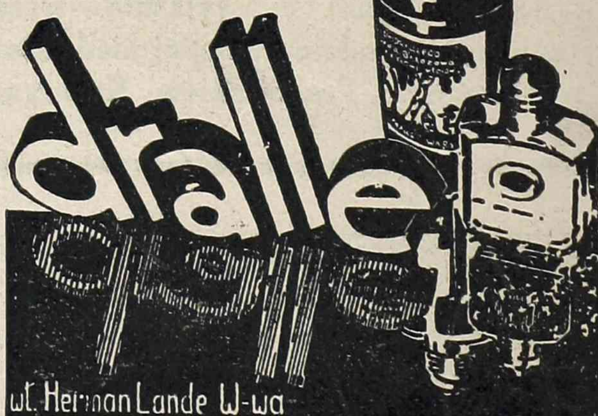
Panu K. M. Łupież wygubi Pan i zapobiegnie wypadaniu włosów, stosując *Tetral-Perfection,* który da dodatnie rezultaty już po 2-ch, 3-ch dniach. Włosy na skroniach najlepiej przyciemnić *Hennoliną.*

P. Zofji w Kaliszu: Najlepszym środkiem do rąk, jest *Krem Prałatów,* który nawet bardzo zniszczone i zaniedbane ręce szybko doprowadza do należytego stanu. Ręce nie będą czerwone i szorstkie, lecz gładkie i miękkie. Jeżeli idzie o wybielenie rąk, to po natarciu *Kremem Prałatów* na noc, grubo przypudrować *wybielającym pyłkiem Juvenia Candida,* i włożyć luźne stare rękawiczki, lub rękawiczki kosmetyczne. Szczególniej nieoceniony jest *krem Prałatów* w zimie, gdyż prócz miękkości i delikatności, którą nadaje rękom, zapobiega również odmrożeniom. Co się tyczy kremu pod puder, to najlepszy będzie *Krem Seta.* Z pudrów polecam *Abarid,* który nie ma sobie równego, a przytem nie niszczy cery.

M-m Ercedés.

Do wszystkich: o ile na prowincji tych środków dostać nie można, to wysyła wszystkie pocztą: „Perfection" Warszawa, Sniadeckich 16.







BIEG MYŚLIWSKI ŚW. HUBERTA W PŁOCKU



Na zakończenie sezonu sportowego odbył się tradycyjny bieg z przeszkodami na dystansie 14 klm., prowadzony przez p. A. Czaplickiego i przy udziale oficerów 4-go pułku strzelców konnych oraz jeźdźców cywilnych. Zwycięzcą został rtm. Lewandowicz, drugie miejsce zajął por. Domaszewski

Z PRZEMYSŁU PERFUMERYJNO-KOSMETYCZNEGO

Na niedawno odbytej wystawie perfumeryjno-kosmetycznej w Warszawie mieliśmy możność naocznie się przekonać, jak wysoki poziom osiągnął nasz przemysł w tej dziedzinie.

Bez żadnej przesady możemy powiedzieć, żeśmy pobili konkurencję zagraniczną.

Osiągnięcie tych rezultatów to zasługa przedewszystkiem poważnych perfumeryjno-kosmetycznych fabryk warszawskich. Wśród nich na pierwsze miejsce wysuwa się fabryka kosmetyków i perfum J. Szach (Leszno 40).

Najważniejszą zaletą wyrobów firmy J. Szach, są ich niezrównane subtelne zapachy oraz wykwintne opakowania wysokiej wartości artystycznej.

„Dernier cri", „Japoński biały bez", „Pluie de fleurs", „Szach 15", „Quatre valets" — oto ostatnie nowości (zarówno perfum, jak wód kwiatowych, pudrów, mydeł i kremów), które te walory posiadają w najwybitniejszym stopniu.

O ile idzie o pudry, to należy specjalnie podkreślić ich b. przystępną cenę.

Już za 1 zł. można nabyć w detalicznej sprzedaży pudełko przepysznego pudru w pięknym metalowym pudełeczku.

Umiała to ocenić nasza publiczność (nawet ta co dotąd używała tylko wyrobów zagranicznych) i obecnie stale wyróżnia i zaopatruje się w pudry, perfumy, wody kwiatowe i mydła toaletowe f. J. Szach.

Dlatego też kochani czytelnicy, jeżeli będziecie kupować dla swoich bliskich podarunki na święta, to kupujcie przedewszystkiem wyroby J. Szacha, a prezent Wasz zawsze będzie przyjęty z wdzięcznością.

W.

Przedłużenie konkursu na hasło na „Dentosan"

Jak było do przewidzenia, konkurs na hasło propagandowe dla znanych ze swej dobroci wyrobów „Dentosan" wywołał ogromne zainteresowanie. Zgłoszenia konkursowe napływają w dalszym ciągu bez przerwy, świadcząc o dowcipie i pomysłowości ubiegających się o zdobycie cennych, oraz wartościowych nagród.

Równocześnie jednak wiele osób nadesłało listy z prośbami, aby przedłużyć termin zamknięcia konkursu, jak okazuje się za krótki, zwłaszcza dla osób mieszkających na prowincji.

Firmy „Antiba" oraz „Ł. Spiess i Syn" czyniąc zadość tym życzeniom, postanowiły przedłużyć konkurs aż do dnia 6 stycznia 1933 r. aby dać możność wszystkim zgłoszenia haseł i gremjalnego udziału w wyborze najodpowiedniejszego hasła na pastę, eliksir, mydełko i proszek do zębów „Dentosan".

Wszyscy więc, którzy dotychczas nie nadesłali jeszcze swoich odpowiedzi, będą mogli spokojnie obmyśleć je podczas świąt i przesłać je, w myśl ogłoszonych warunków w poprzednich numerach „Świata" do dnia 6 stycznia 1933 r.

W numerze gwiazdkowym zostanie ogłoszony skład sądu konkursowego, do którego, jak wiadomo, wejdą przedstawiciele świata literackiego, teatralnego i przemysłu.





SP-AEU



Czy wiadomo ci co oznaczają te dziwne litery? To nazwa pierwszego polskiego samolotu, który odbył wspaniałą podróż nad pustyniami Arabji i Persji, nad tajemniczemi Indjami i Sjamem, kierowany wprawną i śmiałą dłonią polskiego lotnika sportowego K. Czarkowskiego - Golejewskiego.

Jest to także nazwa czarującej książki, wydanej nakładem Głównej Księgarni Wojskowej p. t. **„SP-AEU — 13 dni lotu nad Azją“** będącej wspomnieniem autora tej brawurowej wyprawy, która jakkolwiek skończyła się katastrofą w dzikiej dżungli sjamskiej, przyczyniła się jednak do sławy barw polskich w lotnictwie międzynarodowym.

Popierajmy ideję naszego lotnictwa przez książki! Muszą to być tylko książki ciekawe, piękne i stanowiące cenny nabytek dla biblioteki starszych i młodzieży. Książka „SP-AEU" wydana na drogim papierze kredowym, z piękną barwną okładką, ozdobioną wspaniałymi rysunkami i fotografjami. Pamiętajmy o tem w okresie kłopotów z podarkami gwiazdkowymi! Cena 12 zł. Do nabycia w Głównej Księgarni wojskowej (Warszawa, Nowy Świat № 69) oraz wszystkich większych księgarniach w Polsce.







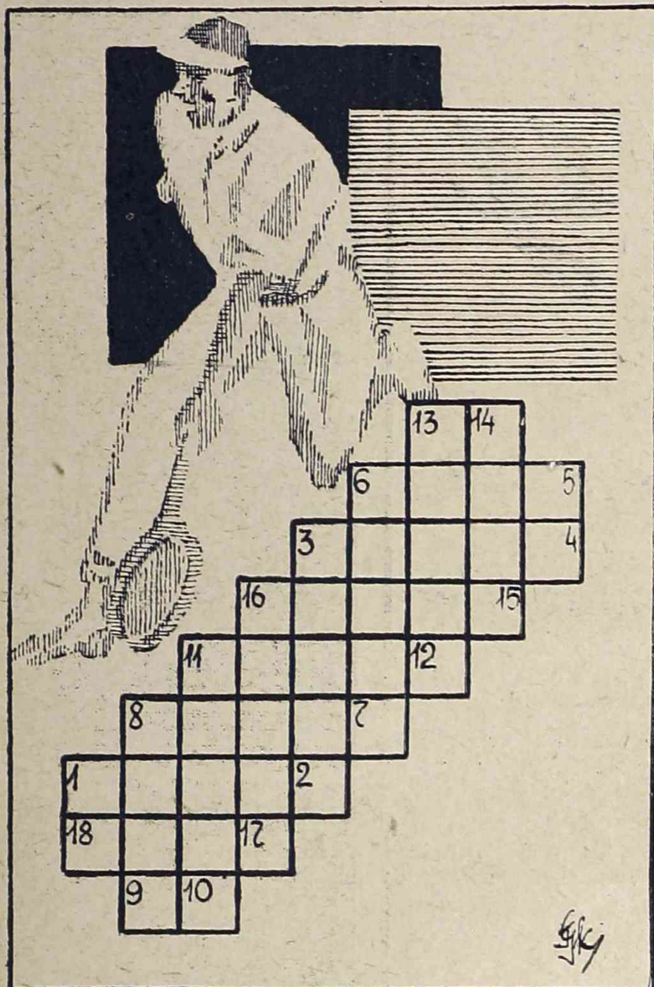
WSZYSCY
NA WSPÓLNY FRONT
DO WALKI Z GRUŹLICĄ



ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 78 (181) Układanka literacka

(Za rozwiązanie 5 punktów).



W kwadraciki wpisać litery w ten sposób, aby utworzyły 12 wyrazów, których początkowe litery, czytane zgóry na dół, dadzą nazwisko laureata państwowej nagrody literackiej. W kwadraciki o wspólnym pionie wpisać należy jednakowe litery.

Znaczenia wyrazów: 1. Nazwisko autora „Fedry", 2. Pseudonim „Śpiewaka Podhala", 3. Nazwisko autora „Ivanhoe", 4. Tytuł utworów Jana Kochanowskiego, 5. Tytuł utworu Sienkiewicza, 6. Tytułowa postać poematu Ariosta, 7. Nazwisko współczesnego poety niemieckiego, 8. Tytułowa postać powieści historycznej Kraszewskiego, 9. Tytuł utworu Wyspiańskiego, 10. Pseudonim autora „Mogiły Nieznanego Żołnierza", 11. Pseudonim autora „Miasta mojej matki", 12. Tytuł powieści J. Germana.

№ 79 (182) Dwuwiersz

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Na progu domu usiadł pies
I podniósł w górę nos.

Należy bez przestawiania, dodawania i odejmowania słów odczytać dwuwiersz w ten sposób, aby posiadał równą ilość sylab, rytm i rym.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z Nr. 41-go

№ 47 (170) KRZYŻÓWKA: Kolor, Korelacja, Proza, Odma, Tran, Prerja, Aurora, Krater, Majola, Asan, Amon, Opera, Zakrystja, Osiem; Karp, Oberża, Okazja, Raca, Komentarz, Agronomja, Opora, Arkon, Troja, Natan, Kaprys, Marsze, Okno, Atom.

№ 48 (171) ZADANIE SCHODOWE: Kort, Baon, Krab, Swat, Atak, Arak, Gnat, Trop, Krak, Atak; Ob, Rak, Tors, Nawa, Bata, Targ, Kant, Kark, Tora, Pat, Na.

Trafne rozwiązania nadesłali:

pp. Albowicz Jerzy (7), Boguszewska Helena (7), Byszewski Edward (7), Ceglińska Zofja (7), Dębowska Adolfa (7), Goldflam H. (7), Herbstmanówna Dorota (7), Hochermanówna R. (7), Jankowska Wanda (7), Jentysowa Janina (3), Kowalska Jawna (7), Kozłowski N. Kazimierz (7), Kretkowski Teodor (7), Łopatto Jerzy (7), Markówna Halina (7), Oborski Karol (3), Puchowicz Kazimierz (7), Rogalski Stanisław (7), Sapiejewski J. (3), Skowrońska Feliksa (7) Sławnicki Michał (7), Słowikowska Dorota (7), Suzinowa Mira (7), Szymbartowicz Kazimierz (7), Tarkowski Mieczysław (7), Tietz Zygmunt (7), Trzaskowski Izydor (3), Uklański Marjan (7), Walicki Seweryn (3), Wiśniewski Kazimierz (7), Wolińska Józefa (7), Zagajewski Adam (3), Żukowska Irena (7) — *z Warszawy*, oraz pp. Aleksandrowicz Jan (3)—ze Lwowa, Adamska Marja (7) — z Tomaszowa Mazowieckiego, Bojarski-Czarnota Tadeusz (7) — z Jarocina, Borkowska Zofja (3) — z Kutna, Bitny-Szlachta Michał (7) — z Gdyni, Buza Czesław (7) — ze Smukał, Domański Roman (3) — z Płocka, Dorszewski Rudolf (7) — ze Świecia, Grodzicki Józef (7) — z Brześcia n/B., Horzelski Wincenty (3) — ze Stanisławowa, Iwańczykowa Marja (7) — z maj. Siernicze Wielkie, Izdebski Ryszard (3) — z Sandomierza, Janicka Zofja (3) — z Grudziądza, Jarszewska Helena (7) — z maj. Żydowo, Kotowska Emilja (3) — z Poznania, Kowalska Marja (3) — z Włodzimierza, kpt. Kraiński Józef (7) — z Krakowa, inż. Krudysz Jan (7) — z Cieszyna, Ludwicki Henryk (3) — z Zagożdżona, Łukasiewicz Michał (3) — z Białegostoku, Misiewicz Karol (3) — z Cieszyna, Mieczkowski Antoni (7) — z Wilna, inż. Modrzejewski Józef (7) — z Lublina, Nowosilska Jadwiga (7) — z Gdyni, Orzechowska Wanda (3) — z Otwocka, Pawiński Konstanty (3) — z Ostrołęki, Przechadzka Łucja (7) — z Piotrkowa Trybunalskiego, Przypkowski Wacław (7) — z Kobyłki, Rowicki Tadeusz (3) — z Milanówka, Rozental D. (7) — z Łodzi, Sawicka Karolina (3) — z Białegostoku, Sieklucka Regina (7) — z maj. Emilucyn, Skupińska Marta (3) — z Zamościa, por. Smolka Wacław (7) — z Lubaczowa, „Tolek z Królewszczyzny" (7), Tyblewski Wacław (7) — z Poznania, Urbańska Halina (7) — ze Lwowa, Wysocka Ludwika (7) — z Dubna, Zabłocki Gabrjel (3) — z Łucka, Zakrzewski Leon (7) — z Radomia, Zaleski Czesław (3) — z Kalisza, Zelcer Adam (3) — ze Lwowa, Żychliński Stefan (3) — z Kielc, Życzyński Bohdan (3) — z Nowogródka.

NAGRODY przypadły w udziale: p. *Wandzie Jankowskiej* z Warszawy i p. *Łucji Przechadzkiej* z Piotrkowa Trybunalskiego.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.